

Andrzej Górny

O potędze teatru

Będzie Pani zadowolona, czyli rzecz o ostatnim weselu we wsi Kamyk

Jedynie od takiego tytułu mogę zacząć o tym niezwykle ciekawym przedstawieniu, co otwiera nas na przestrzeń niczemu nieuległego życia. To ono, życie, jakby samo w sobie, niejako poza postaciami poprzez które tak się dramatycznie w tym przedstawieniu spełnia, zdaje się być głównym bohaterem przyciągającym naszą uwagę, bo przydającym rzeczywistości ogromnej dynamiki dziania się, zadziwiająco zaskakującym bogactwem jego przejawów. Dodajmy – to życie jest na chwilę wesela wyzwolone z wielu ograniczeń i, rzecz można, dostaje nieomal skrzydeł (niekoniecznie białych, niestety), by w uniesieniach weselników nie było żadnych granic i abyśmy my mogli się przekonać, jaki potrafi być człowiek. Ich czas terażniejszy to także ich przeszłość i nawet to, co ma czy wręcz musi się zdarzyć – by musiało dziać się wszystko, i mogliśmy to poznać w wirujących obrotach wesela, w tych uniesieniach i nieodłącznym już nieskręwanym czarnym błocie życia. I taki jest tu czas, wyzwalający weselników z ich życiowej normy – weselników oto rozprzestrzenionych swoim życiem w ich wolnym niejako swobodnym byciu i w czasie przeszłym i przyszłym – i my widzimy, jak są zagarniani i popychani obrotami wesela, kiedy tężeje rzeczywistość, prowadząc do przekonania, że zyskuje jakąś nieomal nadzwyczajną moc sprawczą, która pozwoli dużo jeszcze osiągnąć czy zmienić, może ponad granice w jakich żyją. I czas przedstawienia jednocześnie terażniejszy, przeszły i przyszły – jest przez weselników przeżywany jako wielkie niecodzienne wyzwanie nawet jednej niemal chwili i każdego wobec wszystkich. Trzeba też od razu na wstępie powiedzieć, że aktorki i aktorzy bez wyjątku znakomicie sprościli wymaganiom sytuacji, tworząc postaci z po graniczą jawy i rzeczywistości. Powiedziałbym, że

modelową postacią, co nie tylko wychodzi poza realny, niezmienny kształt ludzkiego życia, ale po prostu w ogóle w jej wypadku go nie ma – jest w oczach weselników Widząca zwana Czarną Pizdą (Anna Mierzwa). Widząca całkowicie wyosabia się spośród weselników, budząc w nich lęk, przyciągając uwagę swoją zdolnością do nieustającej metamorfozy, tej dziwnej zresztą płynności naszej natury, co w jej wypadku jest tak jaskrawo spotęgowane, że umyka racjonalnej wiedzy wszystkich, dlatego budzi ogromny respekt, jest siłą rzeczy pojmowana jako postać na granicy czarownicy. Tym samym żyje na specjalnych prawach w miejscowej społeczności, a w tym konkretnym czasie u wszystkich prawie weselników. Piszę: prawie, bo trudno było się z tym pogodzić miejscowej władzy. Znamy to już doskonale z naszej rzeczywistości, władza nie lubi takiej absolutnej niezależności. Ale pan Ładus zwany też Cesarzem (Mariusz Zaniewski), choć na początku sam tę władzę od razu manifestuje, nie docenił jednak możliwości Widzącej, co wymyka się zakazom dzięki przemienności swej natury. Nie pomogło mu też wsparcie zdecydowanej postawy żony, pani Dasi zwanej Cysarżową (Dorota Abbe), bo wiadomo, pamięta się jej na przykład, za czyją to sprawą ze spiżarni weselnej znikły dwa pęta kiełbasy i na stołach się nie pojawiły. Inaczej mówiąc wesele, to rzeczywiście wcale nie tylko jeden czas, ale także jedno miejsce, wspólna przestrzeń ich życia, gdzie jeden drugiego pilnuje, nie zawsze do końca zdając sobie z tego sprawę.

Jest to opowieść o życiu, które na poziomie swej codzienności nie umyka wiedzy weselników i bardzo mocno pobudza ich emocje, różne uczucia, a dokonywane rozrachunki potęgują jedynie wzajemne pretensje, budzą zawiść, potrzebę zemsty, choć także i zwykłe szaleństwo, aby oddać się życiu ostatecznie i do końca, jeśli emocje nie znajdują innego ujścia dla swej potęgi. I tak weselne otwarcie staje się lustrem wszystkiego co składa się na ich życie, dodajmy, nie tylko wychodzi wtedy na jaw, ale kulminuje do potęgi ta szczególność chwili. Jest w lustrze wesela



po prostu całe życie każdego z weselników i najróżniejsze konsekwencje, a więc konflikty są wtedy nieuchronne i zderzenia bywają pełne bezwzględności aż po śmierć niektórych, bo to nagle jakby jedyna okazja, kiedy ta bezwzględność znajduje wreszcie ujście, a u innych mogła się spotkać z natychmiastową reakcją. Inaczej mówiąc, wesele – u Dudy-Gracz – to czas totalnej konfrontacji na dobre i na złe, co prawie nikogo nie oszczędza przed innymi. I tak już na początku krwawo się to zaczyna dla delikatnej postury Pana Rycia zwanego Zjebem (Radosław Ellis), choć omijają te rozrachunki pana młodego, Siutka zwanego Szczochem (Łukasz Chruszcz), oszołomionego raczej wielką rolą, jaką w tym dniu jest obdarzony i dlatego na swój sposób był bezbronny, niekonfliktowy. Wzajemne porachunki, nawet fizyczne, nie ograniczają się tu jednak do płci męskiej. Chociaż te z udziałem kobiety są za to bardziej wyrafinowane i zupełnie nietypowe dla tego, co się na tym weselu działo, bo niszczące męskiego delikwenta w zupełnie inny, nietypowy sposób. I tak Pani Dorcia zwana Broszką (Julia Rybakowska), która, jakby w proteście przeciwko męskiemu bezwzględniemu siłowaniu i brutalności ujawniającej się na weselu, zaczęła nagle dynamicznie, wyzywająco wobec wszystkich tańczyć, zawłaszczając zwycięsko uwagę znieruchomiałych z wrażenia weselników (także nas, widzów, odważymy się dopowiedzieć), i całą weselną przestrzeń, eksponując z wdziękiem swą urodę. Jej triumf był absolutnie pełny, bo na jej rozkaz mąż, Pan Ciutek zwany Pierdzimorda (Szymon Mysłakowski) na czworakach brnął po podłodze do jej stóp, mimo że długo przedtem żądania się opierał. Atmosfera wesela chwilami pełna oczyszczającej przewrotności wobec ułomnej ludzkiej natury, co w tak bardzo różny sposób na tym weselu się objawia, kazała mu uznać żądanie żony, chyba już nie tyle za spowodowane z jego winy, lecz może i za to wszystko złe, co na tym weselu za sprawą mężczyzn się działo, za kolejne wybuchające awantury, siłowanie i ostateczną zgubę niektórych.

W rozbeltaną szaleństwami weselną rzeczywistość, co rusz włącza się ktoś ze swoją racją, czy własnym widzeniem tej czy innej sprawy, zwolna rozprzegając coraz bardziej cienką warstwę – często nieuświadomianych sobie zupełnie – ludzkich wiązań; więc jednocześnie prowadząc do bezpośredniego, otwartego zwarcia, i odruchów przynoszących w efekcie kolejny konflikt, a w konsekwencji coraz większe ofiary. Budzą się jednak wśród weselników tu i ówdzie obronne odruchy. I tak Pani Gusia zwana Świętą (Maria Rybarczyk) jest zatroskana o wymiar duchowy uroczystości weselnej, co mogłoby szaleństwu granice narzucić. Z kolei Pani Lidzia zwana Ryjem (Małgorzata Łodej-Stachowiak), która czuje się przede wszystkim gospodynią wesela, przywołuje różne walory uczy weselnej, i, by uspokoić sytuację, wygłasza znakomity, długi monolog o rosole, do którego chciałoby się naprawdę od razu zasiąść (Ha! Bez względu nawet na to, że wesele trwa i trzeba je obserwować).

W tym rozgwarze i dzianiu się wielu spraw ciągle wędruje prawie zawsze samotna, zwracająca uwagę swym dziwnym osamotnieniem – Pani Jusia zwana Ścierwą (Edyta Łukaszewska). Z reguły jest trochę obok, wręcz czuje się poza weselem, bo jest nieomal zawsze jakby poza swoim prawem do zagubionego w sobie uczucia, pamiętanego jednak

o tyle, że nie stało się namacalną prawdą jej życia. Mówi sobie, że za późno do niej miłość przyszła. I rzeczywiście, zdążyła przedtem wykopać dzielącą ją od przyszłej miłości przepaść, bo miała już męża i wielu, wielu innych. I jak mówi sobie: on, czyli Pan Dziobek zwany Siłą (Michał Kocurek), po prostu za późno się urodził. Inni ugruntowują w niej przekonanie, że miłość już się jej nie należy, nazywając ją po prostu Ścierwą. Ale kiedy czas ją tak zdecydowanie oddalał od realnie możliwej i dotykającej prawdy swego uczucia, pamięć nie pozwalała jednak zapomnieć, i broniła tego uczucia, przynajmniej na tyle, by mogła cierpieć, i czuć się nieodwołalnie taką, jaką czyniła siebie swoim życiem. To taka pośród weselników wyosobniona, obca, zawędrowała w poczuciu swego opuszczenia na podest wsunięty głęboko między widzów, choć niczego tu na miarę swego przeżywania nie była w stanie znaleźć. W jej oczach – z tak bardzo bliska – było widać, że już żadnej bliższej relacji nie jest zdolna nawiązać. A pełnia absolutnego dystansu, ta pustka jej nieoczekiwania, nie pozwalała niczego do siebie dopuścić, nawet chwilowego złudzenia. Chyba dlatego tak głęboko między nas weszła nienaruszona, żeby tej obcości z bliska doznać niejako do dna i uzyskać ostateczne tego potwierdzenie. Takie były jej oczy z bliska – obce wszystkim, na czym wzrok zatrzymała. A człowiek, co był blisko niej na chwilę, mógł tylko w sobie cofać się przed nią, bo co można wtedy więcej, jak odpowiedzieć swoim rozumieniem, i o tyle współtowarzyszyć jej przeżywaniu.

Chociaż, oczywiście, chciałoby się czegoś więcej, przychodzimy do teatru na pewno między innymi po to, żeby poznać, ale i poczuć się po ludzku, jeśli teatr postawił nas wobec takiej próby jak w tym przedstawieniu. A może się mylę, może Jusia liczyła jednak na coś więcej od nas, a więc i ode mnie – co by ją przywracało do ludzkiej rzeczywistości, z której czuła się losami swego życia wypchnięta? Kreowanie przez Aktorkę tych chwil głębokiej psychicznej izolacji, kiedy była tak blisko, wśród widzów, zdawało się, że wymaga i od nas czegoś więcej, przynajmniej od tych, którzy byli fizycznie najbliżej, na odległość wyciągniętej ręki. Ale ja poczułem się wtedy właściwie pusty, bo co można zrobić będąc fizycznie blisko kogoś, kto czuje się w istocie ode mnie tak bezdennie daleko. Znakomita wręcz kreacja Aktorki w tej sytuacji na podeście wymuszała, by udzielić sobie obronnej odpowiedzi. Więc chyba zwyczajnie zrozumieć jej sytuację, czyli oddać jej coś ze siebie i móc się tym poniekąd już po trosze od niej separować, zachowując dzięki temu przyzwoite wyobrażenie o sobie. W istocie są to sytuacje właściwie nie do ogarnięcia, w istocie to chwile głęboko przeorującego nas niepokoju, którego znaczenia w pełni się nie zna, bo to nurtuje długo i nie odstępuje. A sekwencja spotkania z Jusią nazywaną Ścierwą taką się stała. Pamiętam „Kurkę wodną” Witkacego w realizacji Kantora w Krzysztoforach jeszcze kilka lat przed jego „Umarłą klasą”. Jakże było inaczej, kiedy aktor siadał nawet przy stoliku widza. Była to wtedy jeszcze przede wszystkim gra z konwencją i wystawianie naszego poczucia rzeczywistości na próbę, że może być tak różnie. I tyle jeszcze nie odkryte. Tyle ciągle jest naszego i obcego w nas, tyle co w naszym byciu jeszcze nie doświadczane. A tu, dzisiaj, po dziesiątkach lat po prostu jakby nie było już ruchu w żadną stronę. Tylko stawić siebie pod swoim własnym murem. Czy za dużo już o człowieku w teatrze się wie, aby konsekwencjom

Jerzy Grupiński

Pożegnaliśmy Tomka Rębacza

tej wiedzy nie można się już wymknąć? W każdym razie miałem wrażenie, że w trudny w tej chwili do sprecyzowania sposób, zostałem pokonany.

Sledziłem wzrokiem jeszcze potem Panią Jusię, jak zeszła z pomostu i dalej wędrowała, momentami widoczna wśród weselników, lecz nadal ciągle samotna. Chociaż raz po raz spotykała jeszcze Pana Dziobka (Michał Kocurek), ale ani on ani ona nie mieli siły, żeby przekroczyć granicę między sobą w jakikolwiek dostępny im sposób. Tyle że w jednym wypadku widziałem, jak Jusia wyciągnęła jeszcze w jego kierunku rękę, żeby dotknąć, choć nie dotknęła, tego byłem pewny, mimo dużej odległości i migotania ich obojga postaci wśród weselników, wśród których ciągle wrzało. On nie zrobił żadnego ruchu, pewno, żeby ani źle, ani też za dobrze, nie pomyślała. I pozostała sama, już w zgodzie z tym jak Panią Jusię nazywano – Ścierwa. I żadna chwila, żaden gest weselników ku niej skierowany się nie pojawił.

Ale czy to życie, przyglądanie się jemu i określanie go na naszą miarę i wedle naszych potrzeb i umiejętności – czego Pan Idzik jest tu przykładem – wystarcza? Dla twórczyni tego przedstawienia, Agaty Dudy-Gracz, to dzianie się wesela, uchwytnej w nim rzeczywistości ludzkiego życia – to nie wszystko. Tak życie pełnią swego bytu jeszcze się nie spełnia. W jej realizacji dlatego dzianie się ludzkiego świata jest poszerzone, o perspektywę, jaką umyka weselnikom. Duda-Gracz ujawnia ją w obrazie scenicznym głównie dzięki scenografii i to uczestniczącej, powiedziałbym bardzo dynamicznie i wręcz poetycko w przedstawieniu. Reżyserka dzieli ten podstawowy plan weselnego ludzkiego życia na kilka sekwencji, a w interwałach między nimi otwiera się nagle pełnia scenicznej przestrzeni. Na krótko ta ogromna przestrzeń ukazuje się nam jak odsłonięte płuca tego świata. I widzimy, jak rzeczywistość w tych interwałach po prostu nimi oddycha, dzięki nim żyje. Tak, pomyślałem, oto życie żyje sobą, a nasze jest tylko dostępną nam, świadomą jego częścią. Widzimy, jak przejrzyste przesłony z muślinu niczym skrzydła tych płuc odwijają się wysoko w przestrzeni sceny i opadają majestatycznie, a towarzyszący delikatny muzyczny ton przenosi ten ruch dalej, poza granice widzialnej przez nas rzeczywistości. To tak jakby nasza twarda, okrutna rzeczywistość ludzka, ograniczona, czy może przedwcześnie skarłała, dzięki tym oddechom pozostaje ciągle żywą tajemnicą, trwającą poza naszymi wszelkimi najbardziej różnymi i skrajnymi usiłowaniami.

Teatr Nowy w Poznaniu: „Będzie Pani zadowolona, czyli rzecz o ostatnim weselu we wsi Kamyk”, Agata Duda-Gracz.

Reżyseria, scenografia, kostiumy: Agata Duda-Gracz; muzyka: Jakub Ostaszewski; ruch sceniczny: Tomasz Wesolowski; reżyseria światła: Katarzyna Łuszczuk.

Premiera: 25 marca 2017.

Całość niniejszego szkicu dostępna na stronie autora: andrzejgorny.pl

W imieniu naszego Klubu Literackiego, którego członkiem był Tomasz Rębacz, żegnamy dzisiaj kolegę po piórze. Późno, bo w dojrzałym wieku Tomasz Rębacz objawił swój pisarski talent. Przez lata długie pisał dla najbliższych, dla żony, dla siebie... Jego książki zaskoczyły środowisko literackie Poznania. Recenzje ukazały się w ogólnopolskich pismach – „Toposie”, „Akancie”, „Protokole Kulturalnym”.

Tomasz Rębacz – Pan w Meloniku – jego pisarskie podwójne alter ego – Res Mental, w innej sytuacji – Mateusz Ranto, otworzyli przed nami perspektywę europejskiej, awangardowej kultury, źródła ciągle bijącego natchnienia, idącego od najwybitniejszych osobowości literatury. Tam właśnie była ojczyzna artysty – pisarza. Mówiliśmy więc – pisaliśmy... Syn Europy. Inspirował nas, otwierał na nowe przestrzenie. Jego spotkania autorskie przybierały kształt spektaklu, bogatego w tekst, w kreowanie, niespodziane sytuacje. W wierszu „Do Tomasza” zapisałem tę chwilę, w której spotykamy się przy znanym obrazie Vermeera przedstawiającym kobietę czytającą, przy oknie, list.

*W końcu przychodzi mrok
na tacy leżą jabłka
i brzemienna z reprodukcji Vermeera
podchodzi bliżej do okna
Rozchyła wargi jakby chciała
nabrać w usta jeszcze trochę światła
Podnosi do oczu papier
charakter wyraźny Twego pisma*

Tomku, tyle chwil nad Twoim Słowem. Tyle godzin naszych nad szachownicą... I jeszcze te wędrówki wspólne po uliczkach dzieciństwa – Kozia, Szkolna, plac Kolegiacki.

Tomasz Rębacz jest autorem książek: „Sytuacje”, „Sytuacje, tom równoległy”, „Aphelium, miniatury metafizyczne”, „Sytuacje, tom równorzędny”, „Bywaj mi ciszo”

Na okładce tomu „Aphelium, miniatury metafizyczne” autor zapisał:

Co roku we wrześniu Stary Poeta wyjeżdża nad ocean. Stary Poeta wie, że po jego śmierci jedna kropla oceanu zapłacze. Spacerując po plaży wpatruje się w bezkres wody i szuka tej kropli. Widzi jak ocean dygocze z zimna i bólu.

Tak Tomku, ocean dygocze z zimna i bólu ale Ty zostajesz jak ta kropla w naszych sercach, w pamięci.

Mowa wygłoszona na cmentarzu miłostowskim w dniu 24 sierpnia 2017 w Poznaniu. Staraniem rodziny i Wydawnictwa Kontekst, pośmiertnie ukazała się we wrześniu 2017 książka Tomasza Rębacza pt. „Sytuacje, tom równoważny”.

Egzystencjalny moralitet o czarnych dziurach

Ucieczka przed cierpliwym i nieustępliwym ego, ale także pościgi częstokroć przekraczają granice poszukiwań na tyle wyraźnie, że słyszymy, zda się, chlupot grząskich bachorzy etyki. Pewne aspekty egzystencji możliwe są do osiągnięcia nie tylko przez naruszenie norm, ale też przez odwrócenie się od siebie. Chcę uniknąć moralizowania, aby nie skończyć jak Linos, który zginął od ciosu zadanego własną lirą. Czynom lubieżnym, łapczywości, zapalczywości, zazdrości, zawiści, obłudzie i fałszowi towarzyszy przymknięcie powiek, widziane przez nas samych jako zawiązanie oczu przez los lub naturę, lub przez uosobione pojęcie czegoś wręcz przeciwnego, przez cnotę zatem, na podobieństwo opaski Temidy, która zyskuje dzięki niej swą bezstronność. Powoduje nami zatem żądza lub przyjemność, pewien nadmiar, dla którego hedonista Arystyp z Kyreny znajdował wspaniałe racjonalizacje, jak na przykład tę wypowiedzianą przed wejściem do lupanaru, gdy strofował zawstydzonego ucznia: *Nie jest hańbą tu wchodzić, hańbą jest tylko nie umieć stąd wyjść* (Diogenes Laertios, *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*, przeł. I. Krońska, PWN).

Promieniująca monada naszego ego przypomina astronomiczną osobliwość czarnej dziury, którą można obserwować tylko *in situ*. Tego rodzaju obserwacja jest jednak równoznaczna z połknięciem przez to ciało i zniknięciem za horyzontem zdarzeń. Dla człowieka, który dotarłby do swej jaźni, oznaczałoby to uwięzienie w jedności monady. Znaleźlibyśmy się tak głęboko w sobie, że nie byłoby stamtąd powrotu. Na zewnątrz położenie nasze stałoby się niezrozumiałe i mogłoby objawić się chorobą psychiczną. Nie sposób z wewnątrz przeszwarcować jakiegokolwiek informacji na zewnątrz, Skąd zatem wiedza o naszym ego? Nie bez kozery użyłem paraleli jaźni i czarnej dziury: każdy z nas odczuwa tożsamość z sobą samym jako przyciąganie pewnych zdarzeń, uczuć, wspomnień, kreowanych działań i wszelkich ocen; ponadto daje się wyczuć delikatne jak mgła promieniowanie ego porównywalne z parowaniem czarnej dziury.

Katastrofa, psychiczny klaps, grozi zatem śmiałkowi, który przekroczywszy granice subtelnych bujań w atmosferze własnej jaźni, spróbuje zrealizować jeden i ostateczny cel podróży; z niej się już nie wraca. Kto w sobie wątpi, zasypia dla świata. Endymion pozostawił na ziemi swój sen i zatopił się w sobie, a zwierna mgiełka płynąca z kolapsu uwieczniła jego wizerunek i uczyniła tak pięknym, że zakochała się w nim Selene. Narcyz natomiast z miłości do siebie zwariował aż do samobójczego ataku. Tak skończyła się jego podróż do wnętrza, do osobliwości monadycznego Ja. Stamtąd, jak powiedziałam, już się nie wraca. Podobnie, choć inną drogą, skończyła nimfa Echo. Zakochana bez wzajemności w Narcyzie zamknęła się w sobie. Jej kolaps uzewnętrznił się przez jedną nic łączącą ją ze światem, przez jęk. W końcu tylko on pozostał po niej.

Daleko idące twierdzenie formułuje Kant: *Rzecz, której działanie nie może nigdy uchościć za*

współdziałanie wielu działających rzeczy, jest prosta [niezłożona]. Nieco zaś dalej z żelazną konsekwencją utrzymuje: Zdanie „Jestem prosty” trzeba uważać za bezpośredni wyraz apercpcji. [...] nie znaczy [to] jednak nic innego, jak tylko to, że to przedstawienie Ja nie zawiera w sobie nawet śladu różnorodności i że jest absolutną (choć tylko logiczną) jednością. (Immanuel Kant, *Krytyka czystego rozumu*, przeł. R. Ingarden, Wyd. Antyle, Kąty 2001). Zaiste nie sposób zaprzeczyć, skoro to sąd prawdziwy. Ego nie może uchościć za złożone z części odpowiedzialnych za poszczególne funkcje. Powtarzam za Maiores: *Ja* sprowadza się do punktu. Tak dzieje się z każdym białym karłem ludzkiego istnienia. Jego jedyną emanacją, jakby relikwią tego, co zamknięte, jest umysł i działanie. W nich dopatrujemy się siebie samych.

Fragm. większej całości pt. „Szkice o cichym sterniku. Pod żaglami samego siebie”

Marek Słomiak

nasze drogi. . .

. . .tak różne
lub tak podobne w wyzwaniach
przynależności do tego
lub zupełnie przeciwnego tętna
perfekcji wypowiedzi ważnych -

rozdrażnieni wypadamy
poza ciepłotę ciała
w oziębłość tragicznej trwogi
popadamy z uśmiechem
niepewnym w rozpacz
lub z zaśmiechu ciszy szyderczej
poniewieramy strony
różne świata pamięci
- zaklinając rzeczywistość
rozstań lub oczekiwań sennych
tak bardzo zależnych od
niespodziewanych pragnień
jak przymioty życia zakłęte
w przekleństwo tylko swojej
teraźniejszości - - radośnie
giniemy

Sebastian Nowak

Pociechy

Spójrz kochanie
nasze dzieci
bawią się
w wirtualnej piaskownicy
pójdę po nie
przyprawdę do domu
niech dadzą już
spokój
tym biednym
galaktykom

Teodozija Zariwna

* * *

Zachód poezji jest smutny,
przypomina sny chorego,
przerywane i niepokojące,
lub meksykańskie seriale,
pozbawione miary i końca.

Beztrioskie wiersze,
które pogubiły rymy,
gromadzą się koło porzeczki
w kolejce do żółtego ołówka
z gumką na karku.

Goła myśl bez metafor
wywołuje skrępowanie,
jak człowiek bez odzieży,
który stoi przed merostwem
walcząc o prawa szarych między białymi.

W cudzym ogródku
słysząc kulawą angielszczyznę
i dźwięk ręcznej piły,
która łatwo wchodzi w ciało
byłej moreli,
płoszy proste zdania,
które wyfruwają, niby stadko
kapuścianych motyli,
niesłyszalne i nieważkie,
jak dusze słów,
które kiedyś przebrzmiały.

* * *

Babcia śpiewa
przerywanym głosem:

„Pośród pola studnia,
orły wodę piją...”
młodsze nie pomagają –
one tego nie znają.
Melodia ledwie-ledwie
przeciska się wśród wiosen,
wśród strat i zagubionych lat.
Piosenkę trudno poznać,
jak i jej wykonawczynię,
wśród zmarszczek, oblazłych chust
i trzech spódnic perkalowych.
Trzymam w zębach tabletkę
i te bezradne łyż,
niby ostatnią nadzieję,
że świat zatrzyma się –
że je usłyszysz:
piosenkę i kobietę,
które, jak marzenie, rozpływają się
w czasie, jesiennej mgle
i naszej pamięci.

* * *

Stare swetry w szafie
bezpiecznie poskładały
rękawy na piersi
i czekają na właściwy czas.
Kto tu o nich zapomniał?
One pamiętają
dętą orkiestrę w malutkiej wsi,
pierwszy strach przed miastem,
sprytnie przesłonięty
nową suknią według ostatniej mody,
chłopca w džinsach
z długimi jasnymi włosami
i drzewo, które upadło obok nas
w poprzek mokrej ścieżki
(wielka siła twoja, Boże!),
strumyczek łez
(czy warto było płakać?)
za uniwersyteckimi przyjaciółkami,
które pospiesznie pożegnały się,
trochę beztriosko,
na jakichś 20-30 lat.
To oraz wszystko inne, nie mniej znaczące i
ważne,
o czym zapomniałam zupełnie lekkomyślnie,
a teraz żałuję,
że nie pisałam pamiętników:
wtedy byłoby dużo płaczu
po tym, co się bez śladu rozwiało
w powietrzu powiewającym za nami.

Przekład Kalina Izabela Ziola

Teodozija Zarivna – (Ukraina) - poetka, prozaiczka, dziennikarka, teatrolog. Autorka zbiorów poezji, powieści, sztuk teatralnych i filmów dokumentalnych. Laureatka 10 nagród literackich. Redaktorka naczelna czasopisma Kyjiv. Jej utwory są tłumaczone na język polski, portugalski, macedoński, rosyjski, rumuński.



Nowicka - niewrażliwość ukryta pod maską poetyckości

Myślę, że jedną z najważniejszych zmian w polskiej literaturze współczesnej jest to, że nie da się być z wszystkimi ważnymi tytułami na bieżąco. Jeszcze 10-15 lat temu nie było z tym problemu, choć wiadomo, że nie wszystko każdemu się mogło podobać to co by nagłaśniane i wspierane. Myślę, że nieco później doszło do rozwarstwienia gustów – nie zawsze autorytety wspierały dobre i wartościowe książki, a nie zawsze czytelnicy werdykty intelektualistów i opinie innych twórców przyjmowali za dobrą monetę. Dzisiejsze rozproszenie świata kultury i literatury jest o wiele większe od tego w latach 90-tych, które dla jednych było śmiercią kultury i jej rozpadem, dla drugich symptomem normalności. Takie refleksje mnie naszły wczoraj kiedy kupiłem w księgarni książkę Bronki Nowickiej pt. „Nakarmić kamień” nagrodzoną Nagrodą Literacką Nike 2016. Po raz pierwszy nagrodzone w tym konkursie książkę debiutancką, nie po raz pierwszy nagrodzona książka została wydana przez „Biuro Literackie”. Zazwyczaj werdykty jurorów Nike nie są dla mnie drogowskazami lekturowymi, gdyż to dopiero 3 nagrodzona książka w tym konkursie, którą daną było mi przeczytać. Dzięki werdyktowi jurorów poznałem twórczość poetki, gdyż nie wszystko kupuję z „Biura Literackiego”. Podobnie jak w przypadku rozreklamowania „Wojny polsko-ruskiej pod flagą biało-czerwoną” Doroty Masłowskiej mamy do czynienia z nagrodą dla osoby nieznaną. Stąd też zastanawia mnie czy taka nagroda dla debiutanckiej książki nie będzie oznaczać wszelkich trudności w dalszej pracy pisarskiej, bo poprzeczkę zawieszono przed autorką bardzo wysoko.

Sama książka „Nakarmić kamień” to zbiór krótkich próz poetyckich. Nie da się uniknąć porównania z twórczością Schulza poprzez sam wybór formy literackiej, tematyki, pewnych cech języka. Jednakże Nowicka nie jest niewolnicą Schulza, nie podrabia go by zaistnieć, ale tworzy zupełnie oryginalne teksty z oryginalnymi fabułami, mając jakieś oparcie w tradycji polskiej literatury. Książka z tego co czytałem o niej nie jest łatwa żeby ją opisać, zinterpretować. Być może ma wiele wykładni, możliwych dróg odczytania. Tematyką książki wg mnie jest ukazanie młodości i starości, ostre ich skonfrontowanie, w tekstach występuje kilku bohaterów jakby ta proza poetycka była zarazem poezją i teatrem, a bohaterowie głównymi aktorami w spektaklu. Wśród tych bohaterów są dziecko - dziewczynka, matka, ojciec, babka i prababka. Dziecko w swoim naiwnym postrzeganiu świata ukazane jest jak arcymistrz poetycki, zdolne do wrażliwości, jak i okrucieństwa, np. torturuje lalki. Dziecko jest zdolne dzięki różnym pomyłkom do niesamowitych odkryć w działaniu świata dorosłych. Zapracowana babka i jej szalona matka, często również wchodzi na tereny przypominające działalność dziecka. Prababka jest infantylna i szalona, jej córka jest praktyczna, ale nie znęca się nad matką, stosuje różne wybiegi przypomina-

jące świat dziecka, np. daje jej zamiast pieniędzy – guziki. Ojciec dziecka, ukazany jest jako nieudolny, samotny i zagubiony mężczyzna i jest nieco podobny w swojej odrębności od tego co się dzieje w domu do ojca ukazanego w prozie Schulza. Jednakże różni go np. agresja, gdyż to on bije dziecko. Matka dziecka często się nie pojawia.

Każda proza to jakby jednoaktówka. Są zbieżne tematycznie i jakby toną w jednej tezie, którą stara się ukazywać poetka: starość jest tym samym co wczesna młodość, gdyż starość to kalektwo, śmieszność, nie ma w tej książce żadnej taryfy ulgowej dla ludzi w podeszłym wieku, ani dla ich dziwactw i słabostek. W prozie Nowickiej dziecko jest okrutne, ale o tym już pisał Tadeusz Różewicz. I mimo językowej maestrii, plastyczności opisów, co jest niewątpliwą zaletą pisarstwa Nowickiej, wyłania się z tej książki jakiś ekstremalny egoizm, brak wyrozumiałości dla cierpienia, ludzie w prozie Nowickiej przypominają zamknięte koniki polne w stoiku, z którego nie mogą się wydostać. Nie twierdzę, że książka nagrodzona Nike powinna bawić i wychowywać czytelnika. Nie. Tylko jestem przyzwyczajony do literatury z pewną dozą wrażliwości, a nie do autorki, która mogłaby bić więźniów obozu koncentracyjnego i optować za eutanazją – jak sobie mógłbym wyobrazić, ponieważ taka wrażliwość mi nie odpowiada, choć niektóre pomysły są ciekawe, związane z surrealizmem, atmosferą snu przechodzącego płynnie w rzeczywistość.

Bronka Nowicka, Nakarmić kamień, Biuro Literackie 2016 (wydanie drugie)

Andrzej Dębowski

Strach

Całe życie
przychodzi do mnie
upięty w szare barwy
spocony
otwarty na wszystko
siada pod parapetem okna
drapiezną dłonią
każe zapalić papierosa
milczy

Dom rodzinny

ślady pozostawione po ucieczce
rozdmuchuje jałowy wiatr
nasz dom wygląda jak obłądny strych
straconych złudzeń

zamykam oczy
dotykam dłońmi stracony czas
i posłusznie
chyłkiem
próbuję zamknąć
wykrzywione drzwi

Janina

(fragment powieści)

Dziś dostrzegła, że petunie na balkonie przekwitają nieodwracalnie. Zielona wykładzina pokryta była szerniałymi, zbitymi przez wiatr kwiatami. Te, które trzymały się jeszcze poranionych łodyg, też utraciły już świeżość. Umierały petunie, umierało lato, mimo, że kalendarz wskazywał datę siódmego dnia września. Petunie sadiła w maju. W pośpiechu, bojąc się, czy zdąży w porę wybuchnąć euforią szalonego piękna, patrzyła potem, jak przysyłają coraz gęściej lilioworóżowym kwieciami pręty balustrady i odgradzają od betonu miasta.

Jesień nadchodziła nieuchronnie i właściwie stała już obok. Dama strojąca się w jaskrawe suknie. Zachowywała się nobliwie, a nawet dystyngowanie – żadnego rozdzierania szat, żadnych szaleństw. Ot, starsza pani – w pretensjach, słusznych zresztą, bo figurę miała wspaniałą i twarz szlachetną ze śladami wielkiej piękności. Nocami płakała, ale godnie, cicho, a rano na szybach można było oglądać lzy...

Janina starannie utkała w szafie odkurzaczy, przez chwilę popatrzyła przez firankę na jesienne niebo i poszła do kuchni. Cisus (wszystkie rośliny miała zwariowane) zalotnie zaczął jej włosy, gdy przechodziła obok, by usmażyć omelet. Przysiadła potem przy oknie – mieszkała sama, jadła najczęściej w kuchni, patrząc przy tym przez okno.

Tym razem zauważyła, że nie ma kulawego psa. Pojawił się jakiś miesiąc temu. W zapadającym zmierzchu wychynął zza stojącego w dole śmietnika – tak upiorny, że wzdrgnęła się przestraszona, a gdy ochłonęła, w popłochu uciekła do domu. Żadnych psów – powiedziała do siebie stanowczo – dość już psów. DOŚĆ. Nazajutrz jednak wyszła wieczorem z Kazanem i widziała go znowu. Następnego dnia zobaczyła tego psa w świetle dnia. Miał potwornie powykrzywiane łapy, jakby połamane na wiele kawałków i cudem chyba pozrastane, bo przecież c h o d z i ł. Miał pełne ludzkiego cierpienia chore oczy w różowych, wyliniałych obwódkach. Brązowo-żółte futro wisiało na nim, jakby pozszywane z niepasujących do siebie kawałków... Rzucony chleb jadł godnie, powoli. Odszedł – kołyszając się jak jakaś zjawa.

Od tego dnia wynosiła mu pod blok jedzenie. Jak to się stało, że przeżył – to pytanie zadawała sobie codziennie. Bo – jak żył – widziała. W dzień zapadał w jakimś kącie, o zmroku wychodził i kołyszając się monstrualnie przemierzał skwery i dróżki osiedla w poszukiwaniu jedzenia.

Karmiony co dzień przez Janinę właśnie trawnik przed jej blokiem obrał za koczowisko. W zależności od pogody siedział lub spał w zadarszeniu wielkiej ciężarówce, wyciągnięty płasko, jakby nieżywy, w osłonie bujnej trawy lub zebraczo przysiadł pod krzakiem wierzby i patrzył tymi straszonymi oczami...

Teraz nie było go.

Wróciła w głąb mieszkania. Nie była to wielka głębina – trzydzieści trzy metry kwadratowe – z balkonem.

- Podleję kwiaty – szepnęła do siebie.

Empatia

Mężczyzna przekręcił kluczyk w stacyjce i puszczając sprzęgło wcisnął pedał gazu. Samochód wolno ruszył. Pies leżał na tylnym siedzeniu spokojny, wręcz zadowolony. Lekko postawione uszy bezwiednie łowiły odgłosy ulicy, a półprzymknięte ślepia leniwie oglądały sfatygowaną tapicerkę. Wyjechali z osiedlowego parkingu na drogę dojazdową do jednej z głównych arterii miasta. Siedząca obok kobieta położyła dłoń na psim łbie. Zwierzak uniósł powieki i polizał jej palce.

- Dobry pies – powiedziała z czułością.

W tym momencie dziewczyna siedząca obok kierowcy obróciła się przez lewe ramię.

- Wszystko dobrze? – zapytała.

Kobieta pokiwała twierdząco głową. Dłuższy czas jechali w milczeniu, mijając kilka skrzyżowań. Aż do momentu, w którym wjechali na rondo i zjechali trzecim zjazdem w prawo. Wtedy pies zaniepokoił się i uniósł do góry łeb.

- Leż, leż, – kobieta poklepała go uspokajająco, ale ten zaczął wiercić się niespokojnie. Kobieta wzięła do ręki smycz przypiętą do obroży na wypadek, gdyby pies chciał zeskokczyć i wcisnąć się pod fotel.

- Zaczęło się – skwitowała sytuację dziewczyna.

Pies był coraz bardziej zdenerwowany. Usiadł, zaczął skamleć, najpierw cichutko, potem coraz głośniejsze i żałośniejsze.

- Nie mogę tego słuchać – dziewczyna zakryła dłońmi uszy. – Nie licz na mnie, że pójde tam z tobą – oznajmiła po chwili matce. – Nie dam rady. Już teraz cała się trzęsę.

Kobieta spojrzała w przednie lusterko. Mężczyzna podchwycił jej spojrzenie.

- Nie – powiedział stanowczo i głośno. – Nie ma mowy. Ja tu robię jedynie za kierowcę. Pies to wasz pomysł i zachcianka. Nie-ma-mo-wy – powtórzył dobitnie, rozciągając sylaby. Na czole pojawiły się mu kropelki potu. Kobieta zaczęła nerwowo skubać końcówkę smyczy. Pies położył się znowu na siedzeniu, ale uniósł głowę i skamlać rozpaczliwie, wpatrywał się intensywnie w kobietę, aż łzawiły mu oczy i wtedy szybko mrugał powiekami, by nie spuścić z niej wzroku nawet na sekundę.

- Nie zrobisz mi tego, prawda? – pytała jego ślepia. – Przecież jestem grzecznym, wiernym psem. Chodzę przy nodze, nie szczekam bez powodu, nie ściągam ze stołu kiełbasy. Kocham cię tą swoją psią miłością bez zastrzeżeń już tyle lat. Co jakiś czas trącał wilgotnym nosem jej dłoń, oczekując jakiegoś gestu, zapewnienia, że oto zdołał wyprosić tę łaskę dla siebie.

Tymczasem dotarli na miejsce. Mężczyzna zaparkował samochód tuż przy wejściu do lecznicy weterynaryjnej. Kobieta popatrzyła na całą trójkę. Mąż, córka i pies wpatrywali się w nią w napięciu, czekając na jej decyzję z nadzieją, że zlituje się właśnie nad nim. Trwało to dłuższą chwilę. Wreszcie uległa. Nacisnęła klamkę i otwierając drzwi samochodu, powiedziała:

- No dobrze, niech wam będzie, pójde sama się zaszczepić.

Einstein przepływa Wisłę w Nieszawie (fragment)

Motto:

*... jakby się skądś znało, z innych fotografii, z filmu,
może ze słyszenia, i to znało się nie
tylko jego twarz, ale i parę poglądów, przypisywa-
nych temu oryginałowi, a dotyczących
przede wszystkim względności naszych odczuć
i wypowiedzi...*

„Einstein przepływa Łabę pod Hamburgiem” Siegfried Lenz, tłum. Feliks Przybylak

Była jak miasteczko,
w którym przez pomyłkę
się nie urodziłem,
które jest jak przekrojone jabłko,
nad nim przepływają sady.
Była jak moje włosy,
czasem się dziwiłem,
że mnie boli.

Erotyk małomiasteczkowy

Po adresatce tego wiersza pozostało mgliste wspomnienie. Miasteczko, które wówczas „poeta miał na myśli”, to Nieszawa. Mieszkał tam w dzieciństwie. Mieszkał był tam drzewiej, niedawno by powiedział w czasie zaprzestylm. Mieszkał trzy lata. Trzy lata, które były epoką.

Mniej więcej od czasu, gdy zniemacka powień dobrze wychowany, młody człowiek ustąpił mu miejsca w tramwaju, a on skwapliwie, choć z pewnym zdziwieniem z tego skorzystał; „epoka nieszawska” niespodziewanie w nim ożyła – zaczęła się, ku jego jeszcze większemu zdziwieniu, zbliżać do czasu terażniejszego. Miasteczko przyciągało.

Pojechał z dwójką, równie młodych i dobrze wychowanych, jak ów niedawno mu ustępujący miejsca w tramwaju chłopak, znajomych ludzi. Wjeżdżali od strony Torunia – od strony brzegu pradoliny Wisły. Był maj – czas kiedy, jak pamiętał z dzieciństwa, miasteczko zapuszczało gęstą blond czuprynę kwiatów śliw i jabłoni, czuprynę, która rozpościerała się ponad rynkiem, przesłaniając drogę którą właśnie jechali i cmentarz na jej zakręcie, czuprynę niczym pogodny jasny cumulus. Kwiatów, ani drzew z których wyrastały nie było. Nieszawa wyłysiała.

Ożyły wyprawy z gospożą Rózią na nieszpory. Jej pachnąca kościołem suknia. Czarna, ze złotymi różami góralska chustka. Po drodze złorzeczenia na Darwida (taka gosposina hybryda Darwina z Norwidem), który pisze bluźnierstwa o tym, że ona, gospożka, członkini trzeciego zakonu, pochodzi od małpy. Przed farą ksiądz Świniarski. Szczupła, ascetyczna, jak wyciosana z ciemnego marmuru, niepokojąco spokojna twarz. Gotycka sylwetka. Podobno Niemcy w Dachau przeprowadzali na nim eksperymenty medyczne. Zrozumiał, że księdzu Świniarskiemu amputowano uśmiech.

Rynek. Dojmujące wrażenie pustki. Dawniej bruk, teraz asfalt. Dziurawy. Parterowe, pozabawione fundamentów domki. Częściowo niez-

mieszkałe. Pozabijane deskami okna. Pozostałość knajpy i sklepu przemysłowego. Też deski w oknach. Chudy, czarny kundel, z podkulonym ogonem przebiegający rynek. Czynny sklep spożywczy. Przed nim, na ławce, czterech w średnim wieku niespiesznie pije piwo. Dojmujące wrażenie pustki w oczach. Zapadnięci do środka. Nawet desek brak w oknach.

– Ja tu mieszkałem, zagaił do nich.

– Na pewno nie mieszkałeś.

„Ty” podkreślające poczucie własnej wartości. Mówiące – to, co widzisz, to tylko pozór. Jesteśmy grupą światowców, którzy mają kaprys delektować się chwilą w tym egzotycznym miejscu.

Chciał odejść, ale zaryzykował:

– Mój ojciec był tu lekarzem. Wiedział, że w takich miejscowościach nazwiska kolejnych księży, wójtów i lekarzy na zawsze wchodzi do historii.

Nic. Odszedł kilka kroków. Po chwili jednak jeden ze „światowców” podchodzi.

– Jesteś z pięćdziesiątego piątego rocznika, twoja matka też była lekarką i masz brata bliźniaka.

– Tak jestem z pięćdziesiątego piątego, mama jest lekarką, ale brat jest o rok młodszy.

– Nazywam się Koźmiński i chodziliśmy razem do klasy.

Wyciągnął rękę. Ucisnął dość mocno i dość długo dla podkreślenia pewnej zażyłości. Przez chwilę jakby nawet zaszklily się oczy, ale znów zapadł się do środka.

– No to cześć!

– No to cześć!

Furmanki, dużo furmanek i koński gnój, dużo końskiego gnoju na ryku. Jego zapach. Zapach dawnego nieszawskiego centrum. Piętrowa kamienica. Dentysta. Dentyści wtedy jeszcze byli, potem już tylko stomatolodzy. Kolega ojca. Rodzinna anegdota. Bolący ząb ojca i obopólne znieczulenie butelką wódki – lekarza i pacjenta i... usunięcie zdrowego zęba. Ciemne mieszkanie na piętrze. Bormaszynka napędzana nożnym pedałem. Tajemnicze lśniąca chromem przyrządy.



Pierwszy raz w życiu oglądana telewizja, chyba w „Belwederze”. Na pewno maj, bo Wyścig Pokoju, więc teraz rocznica. Rajmund Zieliński, Staszek Gazda, Kudra, Magiera, Gawliczek... Chciał mieć na imię Rajmund.

Dom w którym mieszkał. Nad rynkiem, w połowie drogi na cmentarz. Róg Mickiewicza i Ciechocińskiej. Niebrzydka, nieskomplikowana, jednopiętrowa secesja. Zwarta bryła – położony na dłuższym boku, ceglany prostopadłościan. Proporcje mniej więcej jeden do trzech. Poza roślinnymi, metalowymi, motywami balkonu i betonowym popiersiem Mickiewicza w górnym narożniku budynku, bez zdobień. Jak fara – dom dokładnie taki sam, jak w czasach jego dzieciństwa.

Nowy, świeżo postawiony, murowany płot. Solidne, kute furtka i brama. Zupełnie „łysy” ogród. Wycięte wszystkie drzewa. Zasypany staw. Pozostała duża, o średnicy około dwóch metrów, cembrowana studnia. Brama zamknięta na klucz. Nikt nie otwiera. Wrażenie niezamieszkania.

Dziwny, zupełnie nie nieszawski dom, jak by przeniesiony z większego miasta.

Na parterze ośrodek zdrowia. Ojciec w białym kitlu, ze stetoskopem na szyi, schodzi do pracy z mieszkania na piętrze. Za nim biegnie gosposia z drugim śniadaniem. Mieszkanie. Zapach wędzonego łososia, zawsze wiszącego w spiżarni. Wielkie – dobre sto pięćdziesiąt, może dwieście metrów kwadratowych. Cztery pokoje. Na sufitach stiuki. Ogromna sypialnia rodziców w której otchłani giną: duży małżeński tapczan, ciężki dębowy stół i duże fotele obite zielonym pluszem. Wrażenie nieumeblowania. Zimą, dwa kaflowe piece w dwu przeciwnych narożnikach, mimo heroicznego wysiłków gosposi, nie dają sobie rady z jego nagraniem. Sala balowa? Bankietowa?

W nocy pukanie do drzwi. Płacz Legalowej. Schodzi z ojcem do mieszkania na parterze. Czeka wystraszony w przedpokoju. Za ścianą głośny szloch Hanki, Gienka i Legalowej. Wracają. Słowa ojca:

– Stary Legal umarł. We śnie. Lekka miał śmierć.

– Czym jest śmierć? Kiedy jest lekka?

– Kiedyś zrozumiesz – mówi ojciec.

Spokojna, zamyślona, woskowo – żółta, twarz pierwszego nieboszczyka, którego widział. Twarz starego Żyda. Taką twarz miała śmierć.

Historia Legala, jego żony i dzieci jest dla niego równie tajemnicza, jak domu, domu, w którym byli sąsiadami. Legal z rodziną znalazł się po wojnie w Nieszawie, ponieważ był pełnomocnikiem przedwojennych właścicieli domu w którym mieszkali. Swoją przyszłą żonę, rodowitą Rosjankę z Pietropawłowska, poznał podczas wojny, w Niemczech, gdzie ta przebywała dobrowolnie na „przymusowych robotach”. Jakim cudem będąc polskim Żydem znalazł się tam, a do tego przeżył, z tak wyraźnym semickim wyglądem, jeden Jahwe wie. Legalowie i ich dzieci cieszyli się w Nieszawie powszechnym szacunkiem i poważaniem, co tym bardziej niezrozumiałymi czyni wydarzenia w 1945 w miasteczku, o których za kilka miesięcy po tym wspomnieniu miał się dowiedzieć.

Walentyna, tak miała na imię Legalowa. Ładna, pogodna, młodsza od męża o co najmniej dwadzieścia lat. Mówiła śpiewną polszczyzną przetykaną wyrażeniami rosyjskimi. „Walentyna, o Walentyna, o gwiazd kraina cię dobrze zna...” Kiedy słyszał tę melodię, wydobywającą się z ma-

gicznej zielonookiej skrzynki, był przekonany, że to o niej.

Bawił się z rówieśni-

kami w wojnę. Wrogami byli niezmiennie Niemcy. Niemiec w jego wyobrażeniu był kimś, a może raczej, z braku jakichkolwiek ludzkich cech czymś, doskonale złym, czymś diabelsko-bandycko-smoczym. Nikt nie chciał być złym, toteż role Niemców w dziecięcych zabawach odgrywały najczęściej, kręcące się w dużych ilościach po miasteczku psy. Zdarzyło się, że taki spory, podrażniony pies-Niemiec, warcząc i szczekając pogonił za nim. On, uciekając, wskoczył na wieko studni, które osadzone na osi, obróciło się. Przerazony znalazł się w wodzie. Na szczęście wewnątrz studni wyłożone było wystającymi granitowymi kamieniami, których mógł się uchwycić. Na powierzchnię w wiadrze wydobyli go Hania i Gienek Legalowie. Przed Niemcem uratowali go potomkowie Żyda i Rosjaniki.

Wisła. Przystań promu. Ani żywej duszy, poza wygrzewającym się na brzegu kotem i kobietą na pokładzie, pełniącą funkcję sprzedającej bilety i obsługującej przeprawę. Żadnej barki, ba, żadnej łodzi nawet. Nieszawa jakby odwróciła się od rzeki. Niebiesko-biały prom z napędem elektrycznym. Ładowność to dwa samochody osobowe i kilkanaście osób. Duże koła napędowe po bokach imitują, jak odпустowy blaszany kapiszonowiec prawdziwego colta, parostatek i przypominają o tym dawnym – parowym. A był to wehikuł niezwykle malowniczy. Kiedy później czytał „Przygody Hucka” tak wyobrażał sobie parostatek pływające po Missisipi. Czarno-czerwony. Emanujące mocą potężne mosiężne tłoki parowego silnika. Dwie szalupy przysiężone przy bokach. Węglowe palenisko z bijącym od niego żarem. Piekielna maszyna, tak o nim myślał, równie wystraszony, co zaciekawiony. Brodaty kapitan z ogorzałą twarzą i fajką w zębach był dopełnieniem widoku. Statek mieścił dwie ciężarówki wojskowe, bądź części siedem, osiem furmanek. Na lewo od promu przycumowana na stałe barka, pełniąca funkcję przystani dla innych barek, holowników i pasażerskich statków regularnie pływających po Wiśle. Codziennie co najmniej kilkanaście barek, wożących głównie drewno, cegłę, piach, cement i inne materiały budowlane. Rozładunek, załadunek. Głównie furmanek. Na prawo od promu suszące się na stojakach sieci. Do brzegu Wisły przycumowane, ciężkie, krępe, około czterometrowe łodzie rybackie, do których na rufie przymocowywano zakończone śrubą silniki spalinowe, ale które też, bywało, poruszano przy pomocy ciężkich, grubych, wiosł i siły muskularnych, żyłastych rąk. Spółdzielnia Rybacka „Certa” była główną żywicielką ówczesnej Nieszawy. Na brzegu skrzynie pełne ryb. Najwięcej leszczy, płoci i cert. Skrzynie z węgorzami, jak czarny, wielogłowy ośliży smok. Jakby skrzydlate po rozpostarciu płetwy grzbietowej sandacze. Oliwkowe okonie i szczupaki. Nie mieszczące się do skrzyń, leżące oddzielnie, z przypominającym kaczy dziób, ale uzbrojonym w potężne zakrzywione do tyłu zęby, pysk, szczupaki. Kilkunastokilogramowe wąsate, o zadziwiająco małych, jakby złośliwych oczkach i szerokich pyskach sumy. Wreszcie, najcenniejsze – łososie i trocie.

Każdy gatunek miał swój niepowtarzalny kolor i zapach. Zapachy dzieciństwa... fantomowe, jakby dotykanie dawno obciętych palcami.

Ciąg dalszy w następnym numerze.

Krzysztof Galas

Platonicznie

Najpierw wymyśliłaś jasną duszę
później olśniewający jej profil
W kręgu powłóczystych spojrzeń
czułaś się spełnioną artystką
świadomie rozgrzeszałaś
niedobór wyrzutów sumienia

Podporządkowana marzeniom
stałaś się niepoprawna

Platon przewracał się w grobie

Czy tego chcesz czy nie
jutro nadejdzie
wiem to na pewno
Całą wieczność będziesz musiała przeproszać
przystawać na żądania
ludzi małostkowych
sięgać po najjaśniejsze światło
zawsze za krótką ręką
dodawać echo do echa
gwiazdy do gwiazd
analizować każdy pojedynczy dźwięk
zaszyfrowanego zgiełku

Na koniec przywykniesz
do małych radości
prawdziwych tajemnic
spełnionego życia

Łucja Dudzińska

Sen. Zerowa mila

Coś umyka, o czym nawet nie wiem.
Wymyśliłeś mnie,
aby dotykać. Otwieram kolejny sen i cię nie
ma.
Czekam. Widzę twój cień, jak pokonuje
odległość
do poranka. Mówią: seks to potrzeba, którą
się spełnia
albo nie. Za tym się nie tęskni. Wymyśliłam
ciebie,

aby tęsknić. To narastanie światła. Otwieram
kolejny
dzień i cię nie ma. Należymy do siebie i do
minionej,
pierwszej nocy. Zawsze wyciągasz rękę.
Podróżujemy
w czasie łączymy wszystkie miejsca
naznaczone sobą.

Barbara Kęcińska – Lempka

Święto Zmarłych

W deszczu liści
schylam się do zapalonych zniczy
migoczą jak światła
odległych domów
po drugiej stronie ziemi.
Gdzie teraz jesteś?
Czy śniesz o morzu
ławce w magnoliach
i polnej ścieżce
z lasem na horyzoncie?
Czy otoczony ciemnością
zapomniałeś o wszystkim
i tylko błędne ognie
świecą w martwych liściach

Krzysztof Grzechowiak

Jakby mało było utrapień

Jakby mało było utrapień
Dodawane są nowe
Żeby życie było jak zgrzyt
Kłucza po świetlistej szybie
Za którą wymarzony raj i spokój
Wieki i muzyka
Ale żeby tam wejść trzeba
Stłuc to błyszczące lustro
I nagą piersią przestąpić czarna zasłonę
Jakby mało było zranień zdrad
Kamieni które ciągną nas na dno
Cuchnących sadzawek
Kiedy w parkowych alejach wiatr
Odwraca na wznak leżące
Odcięte dłonie liści
I niesie się śmiech jak szydercze echo
I łopoczą chorągwie kurzu
Nad obalonym posągiem

Alicja Kubiak

*
bałwan spieniony
błękitną toń rozdziera
wspomnienie z muszli

*
zielona wróżka
wizją absyntu mija
mara powraca

*
grzmienia ulewne
mgliście zapominają
słońca muśnięcia

Jolanta Szwarc

Alternatywy

Tyle okien do umycia,
żeby świat zobaczyć nagi.
Stoję i waham się.
A niech tam.
Niech się ukáže w swoim bezwstydzie
za czystymi szybami.
Podjęłam decyzję.
Wiadro, woda, ścierka.
Lubię nieskalaną czystość.
Ręka posłusznie wyciera szkło
za szkłem.
Przed oczami szarość, mgła.
Stoję i nie waham się.
A niech tam.
Przeleciał jasny promień
wszystkie szyby.
Pobiegły za nim oczy.
Peep show.
Stoję i waham się.

Tadeusz Zawadowski

Maria myje okna

Joli Szwarc

Maria myje okna Pragnie
zobaczyć świat Ten prawdziwy
bez retuszu kurzu i szarości
Trochę boi się chwili gdy stanie przed
przeźroczystą
szybą i zobaczy ludzi w ich rzeczywistych
kształtach z grymasami i gestami
pogardy na twarzach I siebie
nagą i bezbronną

Maria myje okna Ciągle
się waha czy ma w sobie tyle
odwagi aby gonić umykające spojrzenia
dotąd skryte za szybą czy może lepiej
wciąż wierzyć
w szczerść ich zapewnień Na moment
odkłada wiadro i ścierkę Wciąż
niepewna decyzji

Maria umyła okna Bierze w rękę pędzel
i maluje na szkle uśmiechnięte
twarze chłopców i dziewczynek z
warkoczykami
o oczach pełnych dziecięcej wiary
w ludzi Przegląda się w nich Wciąż
dziewczynka

*W nawiązaniu do wiersza
J. Szwarc „Alternatywy”*

Jerzy Grupiński

PROTOKÓŁ
kulturalny
Nr 63/2017

Wiersz odpisany

Jolancie Szwarc

Tyle do umycia okien
– pisze Jolanta –
wiesz teraz wiersz
Świat zobaczyć nagi.
Niech ukáže się w bezwstydzie
obnażony za czystymi szybami.
Gdy ręka wyciera szkło
za szkłem,
a niech przeleci jasny promień.
Pobiegną za nim słowa i oczy.

Oto trzy wiersze. Pierwszy napisała Jolanta Szwarc, dwa następne dopisali autorzy zainspirowani tekstem poetki.

Jak nazwać te dedykowane teksty? Do jakiej włożyć je szufladki? I po co?

To dedykacje poetyckie, wiersze odpisane, przypiski liryczne, takie wierszookna?



Sieroty po Stedzie?

- wobec wartości -

„Sieroty po Stedzie!” – rzucił w naszą stronę młodszy kolega po piórze, gdy staliśmy w hallu filii Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu, oczekując na prelekcję dr. Jakuba Beczka, który zjechał z Warszawy, by opowiedzieć o związkach Edwarda Stachury z tutejszym środowiskiem. Czy właśnie tak? Czy długi cień Stedowy ciągnie się za pisarzami tego pokolenia?

Dwie książki, którym pragnę się tu przyjrzeć, częściowo omijają pytanie, rozszerzają spojrzenie na literaturę, na dzieje generacji. Szczególnie zdanie to dotyczy Pawła Kuszczynskiego, sygnalizującego „inny gust”, inne kategorie wartości. O czym w drugiej części niniejszego omówienia.

Co jeszcze łączy obie książki poznańskich pisarzy, niezależnie od poszukiwań tytułowych wartości? Otóż, wydaje się, że ważne jest tu nie tylko Słowo, ale i jego twórca, żywy człowiek, jego cielesność – osobowość, psychika, wreszcie i drogi życia. Stąd tak istotne są spotkania twarzą w twarz, wspólne chwile, rozmowy, zmilczenia.

11 czerwca 1984. Pociąg B-B – Łódź. Jadę z Mietkiem Stancikiem. Tłok. Korytarz. Przesiadka. Koluszki. Łódź. Kazek Węgrzyn na dworcu. Poczekalnia. Rozmowy. Marsz Łodzią. Mietek na „rozgrzewkę” - wódkę z ryżu (sake?). Deszcz. Błądzenie. Lokal PAX-u. Nowe twarze. Wręczenie nagród. Odczytanie wierszy. W drzwiach spóźniony Mirek. Referat. Obiad. Pół litra wyborowej spod stołu. Dyskusja. Turniej Jednego Wiersza – mój „Vincent van Gogh” otrzymuje pierwsze miejsce. Mirek jest drugi. Koniec. Ulewa. Jakaś podrzędna knajpa. Żarcie i wóda. Głównie piją Bochenek ze Zdanowiczem. Mietek i ja umiarkowanie. Pociąg do Koluszek.

Nie jestem pewny czy Cyprian Kamil Norwid przyznałby się do wszystkich dzieci, które przypisuje (dedykuje?) mu w omawianej książce Jerzy Benjamin Zimny. Bo też i rządzi się ta księga swoistym prawem sylwy, pisarskiego raptularza. Po obszernej, autobiograficznej powieści pt. „Gromnica”, autor obdarzył nas tomem, w którym znajdziemy obok esejów, recenzji, sylwetek twórców, fragmentów prozy, wiersze, dzienniki, felietony, opisy podróży, gęsto zakrapianych biesiad. Autor zgromadził ogrom materiału, szkicując portrety pisarzy, środowisk, wreszcie i opisy dróg, czasu, w których żyło i żyje jego pokolenie. Wracają obrazy z młodości, praca w warsztacie kamieniarskim.

Dardanele sakramentkie i jeszcze Syberia we mnie, której nijak się wyzbyć. Poezja mnie trapi codziennie za to moje kamieniarskie błoto i zmarnowany czas przy kamieniu. Kamień jest jak moje życie – chłodny i do tego twardy i taki niespolęgliwy i teraz jestem już nie ten sam chłopiec, o piwnych oczach, czuły i zawsze wrażliwy na piękno. Jak patrzę w lustro, to jakbym ojca widział i tego ojca to ja już się nie wyprę, chyba że moja pamięć jest zawodna, chyba że to lustro nadali diabli, chyba że tego lustra nie ma i mnie też już nie ma, jest tylko wyobrażenie i miejsce na to lustro – dopiero.

Autor nie liczy się z autorytetami, z utartymi drogami, opiniami krytyki. Znaczącym walorem jest prywatność, emocjonalność spojrzenia. Niewątpliwie, są w książce poeci, którzy bez szkody dla całości materiału, mogliby się tu nie znaleźć. Niewątpliwie, brak wielu nazwisk, które składają podstawowy obraz polskiej literatury tamtego okresu. Autor skorzystał z oczywistego, przysługującego mu prawa wyboru i pominięcia. Oto ci, których poznałem, przeczytałem, przeżyłem...

Kruchość wszechświata, z której to rodzą się pustynie i wszelkie ścierwo? Przesłanie jasne, ale na wyrost katastroficzne, może w pojedynczym wymiarze, a może poeta dostrzegł inną nieuchronność, odmienną od tych, które znamy. Po tamtej stronie rzeki nie ma nic, a po tej mnie już nie ma. Na butach mam proch jeszcze stamtąd, a w głowie pustkę stąd. Przez dekady idę w szeregu, szereg topnieje w marszu.

Charakterystyczna jest dla tych zapisów mroczna, liryczna nuta, poczucie mijania, tragicznego kresu jednostki i pytania: co po nas pozostaje, jaki sens ma „duchowy pobyt”?

Mój pobyt duchowy wśród żyjących jest coraz gęstszy, już jestem tam, więc bez znaczenia są codzienne odgłosy, telefon, media, warkot pojazdów na ulicy, deszcz albo słońce, wiatr i cisza. Idę siedząc, biegnę leżąc, bywam tysiące kilometrów stąd, bez zerkania w okno. Uciekam i wracam, pozostaję w miejscach, gdzie można do woli żyć nie czując własnych nóg, nie widząc nieba i mroku, tylko światelko, które gdzieś zachęca do magicznej wędrówki. Los wieloramienny, wielonogi, zwielokrotnione tętno, jakby wszystkie impulsy z jądra ziemi zmogły się w klatce piersiowej. Aż do wieczora i tak każdego dnia sprawdzam czy jeszcze jest na swoim miejscu rzeczywistość.

Panorama nakreślona przez Jerzego Beniamina Zimnego zawiera znaczące wartości poznawcze. Dokumentuje wybrane przez autora trendy współczesnej literatury polskiej, kreśli sylwetki twórców i podkreśla niedocenione, często zapomniane postacie. Szczególnym sentymentem obdarzył autor Mieczysława Stancika, poświęcając mu wiele stron. Są i zdjęcia pisarzy. W tym i to, wiszące u Jerzego Szatkowskiego w Antoniewie, portret Andrzeja Babińskiego z żyletką.

Dzisiaj są imieniny Andrzeja. Znicz symbol pamięci płonący, w tle modlitwa, która dociera tam, gdzie oko nie dotrze. Ani ucho nie usłyszy odpowiedzi. Bezgraniczna próżnia, pod ziemią doczesne szczątki trawione przez glebę. Piętnaście lat rozłąki tej ostatecznej, spotkanie jeśli nastąpi to już nie tutaj.

Przeważają, oczywiście, materie literatury. Jerzy Benjamin Zimny naszkicował portrety m.in. Jerzego Szatkowskiego, Janusza Koniusza, Andrzeja Babińskiego, Wincentego Różańskiego, Andrzeja Ogrodowczyka, Tadeusza Wyrwy-Krzyżańskiego, Edmunda Pietryka, Marka Obarskiego, Mieczysława Jana Warszawskiego, Pawła Kuszczynskiego. Znaleźli się tu i młodszy, m. in. Magdalena Gałkowska, Karol Samsel, Edyta Kulczak, Łucja Dudzińska, Roman Honet.

Nie uszło i niżej podpisanemu, który według Jerzego Beniamina Zimnego, mimo, że niepalący i słabo pijący, jednak wciąż krząta się organizując od 1970 roku imprezy, wydając od 1988 jedyne pismo literackie w Poznaniu – kwartalnik „Protokół Kulturalny”. Nie omieszka autor „Dzieci Norwida” dwukrotnie wspomnieć autorowi tej recenzji jego późny wiek... Więc grzybem? Je-

rzy! A przecież tak niedawno byłem młodym poetą... Wygląda na to, że często Zimnego bardziej interesuje żywy człowiek – pisarz, bardziej niż jego pisanina. Liczy się żywe, z mowy słowo, gest, sytuacja towarzyska. I chwała za to autorowi. Stąd i liczne spotkania, rozmowy, wspólne wyjazdy, biesiady. Silną stroną „Dzieci Norwida” są niewątpliwie dzienniki pisarza, często publikowane uprzednio w postaci blogu. Strony ciemne, tragiczne, zawsze wiarygodne. Tracą się w nich gdzieś ludzkie głosy, postaci, sytuacje, słowa... i nie wracają. Jak w „Gromnicy” – „Chłopaków gdzieś wymiotło...”. Strony wypełnione męskim bólem, bezradnością wobec losu, ale i poczuciem wyjątkowości chwili, człowieka i Słowa. Czytamy i testamentowane przesłanie do pokoleń. *Jestem im winien nie tylko pamięć, żywią nadzieję, że ktoś z młodszych podejmie tę powinność względem mnie i moich żyjących jeszcze kolegów (...)*.

Inną książką są „Wartości zauważone” Pawła Kuschczyńskiego. Jej autor, poeta, krytyk, animator, wieloletni prezes poznańskiego oddziału Związku Literatów Polskich, duch sprawczy i współorganizator poznańskiego Międzynarodowego Listopada Poetyckiego, zgromadził dokumentację środowiska w wypowiedziach, które rzadko mamy szansę oglądać w druku, w wydaniu książkowym. Mimo, że podtytuł zapowiada recenzje, obok nich czytamy wspomnienia, refleksje, pożegnania, sylwetki historycznych postaci, laudacje, posłowania... W książce czytamy m.in. o Albercie Camusie, Wiesławie Myśliwskim, Adamie Mickiewiczu, Marii Dąbrowskiej. Paweł Kuschczyński kreśli też sylwetki, recenzje książek m.in. Mieczysława Jastruna, Cezarego Abramowicza, Barbary Tylman, Anny Andrych, Nguyena Chi Thuata, Edmunda Pietryka, Andrzeja Dębrowskiego, Dariusza T. Lebiody, Alicji Tanew.

I moje stare serce, moje stare sumienie, / Moja prawda, której nie zmieni śmierć i niewola, / Mój sen o ludziach, co zmiela na chleby kamienie. / Moja ostatnia nad rozpaczą aureola („Porwanie Europy”). To fragment wiersza Mieczysława Jastruna, którego program stanowi poetycki wzorzec dla Pawła Kuschczyńskiego. Jakie to wartości pragnie przenieść, przypomnieć Paweł Kuschczyński? Zapewne wierność, patriotyzm, pamięć, tradycyjny kodeks Polaka, człowieka wybierającego między dobrem i złem...

Ten program realizuje poznański twórca także i w swej poezji, publikując wiersze o Adamie Mickiewiczu, Ignacym Paderewskim, Hipolicie Cegielskim i innych. W poszukiwaniu mostów, autorytetów... Znane są kontakty Pawła Kuschczyńskiego z zaprzyjaźnionym domem Artura Sandauera i jego żony, malarki i poetki – Erny Rosenstein (reprodukcja jej pracy znalazła się w omawianej książce). „Wartości zauważone” otwiera analiza tomu Mieczysława Jastruna pt. „Genezy”, uznanego przez krytyka za kamień milowy w literaturze PRL-u. „Genezy” wydane w 1959 roku są pierwszym tomem Jastruna w latach popaździernikowej wiosny. *Doświadczenie przeżytych kilku lat nie odbiera im świeżości, jest jakoby sprawdzianem realizacji humanistycznych idei. Poezja „Genez” sięga daleko w czasie, czeka na „wniebowstąpienie poetów”.*

Autorytety, wzorce, tradycje... Niech więc i mi będzie wolno przywołać chwilę z początku lat 1960-ych, kiedy to na poznańskim Listopadzie Poetyckim Mieczysław Jastrun zaatakował gwałtownie „awangardzistę” Juliana Przybosia. Doszło do gorszącej kłótni (scena w sali błękitnej poznańskiego Zamku), w której mediował przewodniczący

obradom Anatol Stern (opinia niebezpiecznego skandalisty w Nr 63/2017 20-leciu międzywojennym), który zapewnił panów, że obaj są znakomitymi poetami. Uspokojeni adwersarze zeszli ze sceny. A zapraszany przeze mnie Mieczysław Jastrun nie chciał przyjechać do Poznania. Żona – Mieczysława Buczkówna mówiła, że mąż pamięta z przedwojnia, panoszących się tu akademików z prawicowych korporacji, z laskami, burdy antysemitki... Wiemy, pamiętamy numerus clausus ograniczający liczbę studentów żydowskich na studiach medycznych. Zdarzało się i przymuszanie tych słuchaczy do niezajmowania miejsc siedzących, na wykładach.

Wróćmy do „Wartości zauważonych”, do polecanego pamięci i praktyce nurtu Jastrunowego. „Genezy” utwierdzają w przekonaniu, że sztuka pełni wielką rolę, jest ona bowiem miernikiem ciągłości humanistycznych dążeń w dziejach ludzkich. *Sztuka determinuje ciągłość istnienia i człowieczeństwa. Ruiny Grecji i Rzymu, obrazy Rembrandta i Rafaela, rzeźby Michała Anioła...*

Ale są i inne spojrzenia na nasz naród, chrześcijański dekalog – sporne i gniewne, jak w twórczości Tadeusza Stirmiera zmarłego charzmatycznego, poznańskiego poety... Paweł Kuschczyński przepisuje cytat z wiersza pt. „Miara”: *w stolicy sumienia reducie Europy / katohistoria w narodowym sosie / nowi Kordecy pluja krwią w obiektyw / kontra bełowcy świętego totemu / truchło rewolucji żuje dawną chwałę / patos międli pacierz i wrogie zaklęcia / - ...wszystko jest częścią poznanego świata / a świat zaledwie zmarszczką w czasie i przestrzeni.* Język, mowa są podstawowym czynnikiem kreującym jednostkę ku człowieczeństwu. Gdzie zagubiła się tajemnica, ciekawość świata, otwarcie się na drugiego człowieka... Przypomina Paweł Kuschczyński. Są w tej książce i nowe, inne spojrzenia, zdania. W ciekawy sposób interpretuje autor twórczość Kaliny Izabeli Zioly (odczytywaną najczęściej przez „klucz miłości”), proponuje mianowicie interpretację przez motyw wędrówki, podróży jako sposobu na rzeczywistość, osvajanie czasu. Bliski jest naszemu krytykowi Andrzej Dębrowski, który zadaje rudymenarne pytanie dotyczące każdego z nas: *w wieku informacji / można zdobyć wiadomość z dowolnej dziedziny, / oprócz elementarnej / - skąd jestem.*

Od dawna z pasją czytam internetowy „Dziennik ornitologa” Dariusza T. Lebiody więc w zachwycie przypominam sobie i zapiski, które przytaczają „Wartości zauważone”: *Przysiadłem na kamieniu i patrzyłem w niebo jak świstają w powietrzu, jak nagle przyspieszają i spadają w dół, jak wznoszą się lotem śmigłym ku chmurom. (...) Patrzyłem na latające w przestworach ptaki i cieszyłem się, że istnieją, że ja istnieję i że istnieją inni ludzie i cały ten boski świat. (...) Zrozumiałem wtedy, że Bóg jest jak ów świst skrzydeł, jak chwilowy lot w górę i równie nagle opadanie.*

Uogólniając a więc upraszczając... Dwie książki, dwa różne spojrzenia (jedno pełne emocji, ekspresji, drugie klasycyzujące, przypominające nam tradycje, normy), jak dwa skrzydła naszej kultury, literatury – dionizyjskie i apolińskie.

Jerzy Beniamin Zimny, „Dzieci Norwida”, ZLP, Poznań 2016.

Paweł Kuschczyński, „Wartości zauważone”, ZLP Libra, Poznań 2015.



Janusz Radwański

Łajka

Przykro mi, ale nie możemy pani pomóc.
Z czasem zapada się na osobność, której nie
obejmuje
żadne ubezpieczenie, a objęcie to za mało
na cały ten stygnący i wybuchający
równoległy kosmos.

To nie jest opowieść na telefon, nie na telefon
też nie,
to jest za krótka rozprawa między
kołącym sercem,
odebrany oddechem a szukaniem
w ciemnych kuchniach
i korytarzach, nieprzetłumaczalna na
niezmartwiałe,
nawet jeśli zmartwione, języki.

Wiem, że to marna pociecha, ale pani wie,
kiedy nasze spojrzenia krzyżują się na
czarnym niebie,
to robią to dokładnie w tym miejscu,
w którym
w coraz gorętszej kapsule, gdzieś w zimnej
przestrzeni,
coraz głośniejszym wyjąć i coraz mniej rozumiejąc,
szamocząc się w pasach zniknęła Łajka.



Uwaga, zwierzęta leśne

W tej sytuacji kierujący pojazdem powinien
zatrzymać się, zgasić silnik i wysiąść
spokojnie, bo ten jeleni poczeka,
podejść, położyć obie ręce na kłębie
i odbić się jak na wuefie, tylko teraz
nikt nie będzie się śmiał, nawet jeśli spadnie,
potem sięść (kręgosłup będzie uwierał, może
trzeba było podłożyć chociaż odblaskową
kamizelkę?)
i powiedzieć cicho „wio”, wjechać między
ciągnące się aż do lasu krzaki,
pomyśleć ciepło o policjantach
sterczących nad ranem na mrozie
przy samochodzie z drzwiami otwartymi
szeroko jak kościelne wrota,
jak jelenia tusza wisząca na gałęzi.

Słowo

Serce bije mi wolno jak zimne źródło na
łąkach.
Coś tu do mnie mówi, lecz najwyraźniej się
jąka.
W to miejsce do wodopoju często przychodzą
dziki,
ryją mi znaki o tym, jak nie jest źle być
nikim.
Noc jest dzisiaj jak co noc. Boże narodzenie.

W dole pode mną miasteczko śpi już polnym
kamieniem.
Świeć zatem gwiazdeczko, świeć, mała, świeć
Na kurz, popiół, pleśń, pył, rdzę i śnież
na stykach splątanych kabli od inkubatora.

Pół kilo kupki nieszczęścia, co przyszło nie
bardzo w porę,
wyświetla teraz w zygzakach płynących po
ekranie
słowo zaczynające kolejne urwane zdanie.

Janusz Radwański urodził się w 1984 roku. Wydał książki z wierszami: Księga wyjścia awaryjnego (Brzeg 2012) i Chałwa zwyciężonym (Olkusz 2013) oraz Kalenberk (Fundacja Duży Format, Warszawa 2017). Opublikował trochę wierszy i przekładów z ukraińskiego w prasie literackiej. Jest współtwórcą audycji Wszystko jest folkem w radio Studnia. Folkowy basista, muzealnik. Ojciec Hani, Franka, Łucji i Kaliny. Mieszka w Kolbuszowej Górnej, na Kalenberku. Prezentowane wiersze pochodzą z najnowszego tomiku Kalenberk.

Alkohol i literatura

Podchmielony nieco duet, on i ona – alkohol i literatura, objęci ciasno za ramiona, szli całkiem zgodnym, acz nierównym krokiem poprzez całe stulecia, a to potykając się okrutnie, a to upadając z nieprzyzwoitym wdziękiem, pokazując przy tym światu gołe kupry. Literatura żłopała wprost z wódczanego kwinta, a gula jej chodziła w górę i w dół, jak pasażerowie na peronach stacji Warszawa Centralna. Alkohol zaś sięgał po biuściastą, obfitą cieleśnie literaturę, co to okrywała się jeno materiałem słowa i używał z nią, że hej! Aż iskry szły z tej współpracy wzajemnej, z tego chędożenia twórczego, z tego artystycznego posuwania... sztuki słowa do przodu. Dogadzała alkoholowi chętna literatura, wstydu ni umiaru nie znała, zahamowań żadnych nie miała, chcąc pofolgować sobie tylko kapeczkę. A i alkohol nie marzył, aby być świętym, wnikał do wnętrza literatury otwarciem i podstępem, rozkochiwał ją w sobie, rozmiłowywał, a potem upokarzał i sprowadzał do bolesnego parteru.

Można pić kulturalnie wszelako, pić niekulturalnie, upijać się książkowo, chłać nagminnie i z piękną, upartą regularnością, uzynać się koncertowo, moczyć mordę, zalewać robaka, a także zalewać smuteczki, które niestety – skurczybyki, szybko uczą się pływać. Oczywiście poeci i prozaicy piją wyłącznie z literatek, bo inne naczynia fikuśne są niegodne ich artystycznych warg ssących. Psychiatra i filozof Antoni Kępiński w swej książce „Rytm życia”, wyróżnił kilka stylów sączenia procentów: neurasteniczny, kontaktowy, dionizyjski, heroiczny i samobójczy. Przed nadmiernym spożyciem alkoholu przestrzegała także w swym zabawnym, rymowanym tekście „Odwódki” - poetka Wisława Szymborska: „Od wina wszędzie łysina”, „Od samogonu utrata pionu”, „Od whisky iloraz niski”, „Od cherry nogi cztery”, „Od malagi prosto do zgagi”, „Od absyntu zanik talenty.” Zaniku talentu nie bał się zapewne Ernest Hemingway, który uważał się za prawdziwego koniesera i degustatora „Zielonej Wróżki” (*The Green Fairy*), czyli absyntu. Swoje zielone uczucie do tej smakowej mieszanki kwiatów i liści piofunu, anyżu, kopru włoskiego oraz hyzopu, opisywał w kolejnych powieściach. Pozostając we władzy pobudzającego psychoaktywnie *tujonu*, mimo alkoholowego zapalenia wątroby - żył stuprocentowo aktywnie, jak przystało na pełnokrwistego macho i tak też umarł, strzelając sobie w głowę dubeltówką. Wątroba - niszczona od siedemnastego roku życia winem, piwem, brandy, likierami, przemysłowym bimbrem, rumem oraz whisky - z pewnością nie spodziewała się takiego rozwiązania. George Plimpton, amerykański dziennikarz, zjadliwie zauważył kiedyś, że u kresu życia pisarza jego wątroba wystawała z brzucha niczym „długa, tłusta pijawka”.

Literatura chętnie posiłkuje się alkoholem, pijąc go jawnie lub dyskretnie, a wielu twórców sugeruje, że przyjmowane z zewnątrz procenty to rodzaj alkoholowego fitnessu dla duszy, poprawiającego ich sprawność intelektualną. Ale czy zawsze? Sztandarowy nałogowiec prozy, Charles Bukowski, pisał w „Faktotum”: „Powieść szczerze: byłem przerażony życiem, tym wszystkim, co człowiek zmuszony jest robić tylko po to, by mieć na jakąś strawę, kąpiel i odzienie. Dlatego właśnie nie

wstawałem z łóżka i piłem. Kiedy pijesz, to świat nadal gdzieś tam sobie istnieje, ale przynajmniej na chwilę zdejmuję ci nogę z gardła”. Nieomal upojne, cielesne obcowanie z literaturą, skojarzoną natychmiast z alkoholem, opisał Bohumil Hrabal w książce „Zbyt głośna samotność”. Do problemów z alkoholem (a także lekami na receptę oraz kokainą) przyznał się pisarz horrorów, Stephen King. W jednej ze swoich książek - „Jak pić. Pamiętnik rzemieślnika”, wyjawiał stopień tego uzależnienia, które nękało go w latach 80. XX wieku. Tworzył wówczas w całkowitym zamroczeniu. Po dziś dzień nie może sobie ponoć przypomnieć okoliczności powstania ówczesnych tekstów. Jack Kerouac nie mogąc jako katolik popełnić samobójstwa, postanowił zapisać się na śmierć. Realizację planów przyspieszył udar mózgu. Jerzy Kosiński, autor książki „Malowany ptak”, połączył dużą ilość barbituranów z alkoholem, a potem zawiązał sobie na głowie foliową torbę. Dla pewności jeszcze... wskoczył do wanny. Charles Baudelaire wielokrotnie tworzył teksty pod urokiem alkoholu lub opium: „Trzeba zawsze być pijanym”.

A na polskim gruncie? Marek Hłasko nie wzbraniał się przed alkoholem. Pisał: „Niech nie ośmielił się wydawać sądów o wódce ci, którym nie jest ona potrzebna. Jeśli ludzkość osiągnęła dotychczas cokolwiek trwałego w sensie ducha, to właśnie alkohol”. Użył jednak tego alkoholu jako broni przeciwko sobie. Mieszając go w szejkerze swego organizmu z lekami nasennymi - doprowadził się do przedwczesnej śmierci. Podobne zdanie na temat procentów miał prozaik oraz poeta - Edward Stachura, który dzielnie bronił alkoholu swego powszedniego jako formy kontaktu z osobowością drugiego człowieka: „Wódka to jest człowiek, z którym można porozmawiać”. Jednocześnie widać zdawał sobie sprawę z ograniczeń ludzkiego organizmu: „Woda nie wódka - morza nie wypijesz”. Poeta Rafał Wojaczek, walczący orężem alkoholu z szarżującą depresją i kłuszącymi go po tydkach emocjonalnymi problemami, nie wyszedł zwycięsko z tej wojennej próby. Jego alkoholizm nie był jednak typowy, gdyż nie wypijał bruderszaftu z literaturą, poeta pisał wyłącznie będąc trzeźwym. Osiągał ten stan zamykając się na dwa tygodnie w domu. W tym czasie tylko pisał i poprawiał własne teksty, a żadna upiorna kropla alkoholu nie plamała i nie bezcześciła mu kartek papieru. Po tym okresie wchodził w dwutygodniowy - trzytygodniowy ciąg picia do nieprzytomności. Rodzaj przyjmowanego alkoholu był wówczas dla niego bez znaczenia - ponoć nie gardził spirytusem salicylowym, wodą brzożową, wszelkiego typu bełtami. W stanach upojenia alkoholowego często podejmował próby samobójcze - chciał się zabić skacząc z drugiego piętra, wyskakiwał z samochodów, wieszał się i truł gazem. Rozszalała schizofrenia jego osobowości pomogła mu jednak skutecznie ze sobą skończyć po zażyciu masy leków. Co ciekawe - poeta zostawił przy sobie kartkę ze spisem wszystkich zażywanych medykamentów, jakby w głębi ducha liczył na to, że jeszcze tym razem ktoś go odratuje. Niestety, połąknął za dużo. Powieść Jerzego Pilcha „Pod Mocnym Aniołem”, to również zapis świętego związku alkoholu i literatury: „Chłanianie wody jest tematem tak kreatywnym, że w każdej chwili powstać może jakaś fundamentalna kwestia”. Czy zatem alkohol i literatura po wsze czasy będą powiązane nierozzerwalną siłą?

Maria Ciążela

* * *

niech znaczą
zamkniętymi dziś przed tobą
symbolami
snami
linią ślimaka połyskliwą
która jeszcze nie wie dokąd
spływającą łzą
pamięcią co nie wybiera
wołaniem w środku nocy
kropką w przestrzeni
by nie tracić z oczu

pozwól

Stanisław Romaniuk

Dyskurs

Gdzieś za fasadą nonszalancji
ukryta drzemie melancholia
i drżącą ręką tolerancji
skwapliwie miesza cnoty koktajl.

Rozlewa w nas elmowy ogień,
który choć płonie nie rozgrzewa
i smętniejącym myślom w głowie,
jawiając się poświatać zwiewa.

Z chaosu, w patos, usiłuje
splątana rzeczywistość wsuwać
i nieraz bardzo zacnej głowie,
każe się raz po raz wygłupiać

Józef Zdunek

niepojęte

kosmos się rozrasta
gęstnieje i wydłuża
odkryto nowe niebieskie ciała
wydłużył się koniec
jeśli koniec istnieje

kosmos się wydłuża
w nieskończoność
bez końca
nie ma astronomicznego końca
niepojęta
koniec bez końca

Zdzisław Czwartos

* * *

tak
to jednak jest takie ogromne ...
na moim poletku
nie większym od chłopskiej łąwy
wyrósły fiołki
skąd wzięły barwę płatków
i zieleni liść
i zapach ten
skąd
złota jasność słońca
pływa w ciepłym powietrzu
kołysze się
faluje -
i unosi tę cudowną woń
i
spójrz dookoła
trawa
małe maleńkie żdźbła
wiem że wiele potrafisz
ale tę barwę kwiatów i zielony liść ...

Danuta Ewa Dachtera

Moje Macondo

Nie ma tych,
których kochamy
- zatrzymał się czas.

Umarli żywi
żyją umarli
i my.

Psy śpią i pilnują we śnie
status quo.

Nie mogę zasnąć
i nic mnie nie obchodzi,
że jutro nowy – długi dzień
pełen zwykłych zobowiązań.

A obok mnie śpi
moje powietrze,
którym jeszcze oddycham
i prosi, aby o nie zadbać.

Spróbuję zasnąć,
by dać nam szansę
na nowy dzień.

Olga Lalić-Krowicka

Skrystalizowane opisy Bolonii słoweńskiego poety Borji Bolčiny

Zbiór wierszy Borji Bolčiny pt. „Bologna” jest przepelniony wyrazistymi i precyzyjne ukształtowanymi wierszami. Autor stara się przeprowadzić nas tunelem odświeżonych zapachów starej i nowej Italii, którą wznosił wysoko na swój umiejętny sposób. Próbuje wszystko to pokazać nam, współczesnym ludziom i to mu się udaje. Każdy z wierszy jest przepelniony błogim, białym światłem, tak prawdziwym jak śródziemnomorskie rzeźby. Czytając wiersze Borji, mam przecucie, że czytelnicy mają być także częścią tych posągów. Aczkolwiek na swój sposób jesteśmy niczym indywidualum, które utwierdza i wzmacnia swój fundament poprzez lata. Człowiek – to jednostka historii. Buduje ona posągi, a posągi budują człowieka, tzn. budują jego światopogląd i uszlachetniają, by w pewnych głębokich chwilach mógł utożsamić się z nimi. Odzwierciedlają one ludzką świadomość. Przenikają przez jej świat i zapewniają siłę wnętrza. Poeta przewiduje los przyszłego świata, bazując na przeszłości, która coraz częściej się powtarza:
*twój czas jeszcze nadejdzie, / twoja porcja historii.
// Aż do Sieny wiła się niekończąca procesja. /
Wszyscy się ustawili. Francuzi fotografowali Chianti,
Polacy ciosali, / Angielki miały ramiona pomarańczowe od słońca. /
W tym czasie bardzo zabawnie jest być Gibelinem, /
gdzie wszyscy żyją na bębnie lub fładze.../*

Opisuje krajobraz poruszający czytelnika, który dzięki temu popada w zachwyty. Autor znalazł także sposób, by móc wizualnie wejść do tego krajobrazu i brać dla siebie dużo. W każdym razie, to z niego indywidualnie i oryginalnie pozyskuje więcej swoimi rękami i oczyma. Z niego czerpie siłę i jasność.

*zielone oleandry
terraria w terrariach wody...
morze pluska po konturach kościoła
które ubóstwia
mozaiki niewidzialnego piękna*

Poeta otwiera na oścież swoje wnętrze dla natury śródziemnomorskiej, z którą doskonale się zaznajomił, dzięki talentowi i temu, że w przyrodę i wszelkiego rodzaju rzeczy wnika głębiej i na swój sposób się z nią zapoznaje. Czuje się w niej bezpieczny. Odnalazł dla siebie krajobraz, który można przez długie stulecia opisywać, a dla Borji ten opis poprzez pryzmat wierszy jest wyrazisty i jedyny w swoim rodzaju. Ze względu na to właśnie, jego wiersze będą na długo zapamiętane.

*...gdzie potem wchodzę, zahaczając o wzgórze, z
którego lekko opuszczam spojrzenie
na krajobraz,
do czasu, gdy się nie zjawi jakby twierdza, willa,
borgo;
wieża, na której w słońcu południowym zamawiam
obiad, u ostatniego dziecka Ugolinów.*

PROTOKÓŁ
kulturalny

Autor tomiku wybrał sobie dobrą drogę; przenika Bolonię swoją poezją, unosi ją ku bolońskiemu niebu i spogląda okiem mewy na świat śródziemnomorski. Jest pełen zachwyty i westchnienia, które rozpościera znad Bolonii. Krystaliczne wiersze Borji Bolčiny, pełne białych posągów, to z początku przejrzyste obrazy, które błyskawicznie dzielą się na poszczególne wiersze i dopasowując się do jednego nurtu, otwierają nasze wnętrza na piękno Bolonii.

Wydawnictwo Ruthenus, Krosno 2016, Borja Bolčina, Bologna, 91 str. (wersje językowe: słoweńska, chorwacka i polska), Przełożyła na chorwacki i polski: Olga Lalić-Krowicka.

Paweł Kuszczynski

Latowa pora

Powietrze zastygło,
jasność, chociaż promienie słoneczne
niewidoczne.
Wiatr ustał,
drgnienia nie uświadczysz.
Ptaki umilkły
ukryły się w listowiu.
Zdrój jedynym ratunkiem:
źródło żyje,
niezmienna przeźroczystość.
By napić się wody,
trzeba się pochylić
lub uklęknąć.
Upał ma kształt
w swoim panowaniu.
Uczy pokory czekania,
trwanie zadaniem.

Kalina Izabela Ziola

Nie wiem

jak zanurzyć dłonie
w gładkiej tafli jeziora
by nie zmącić przejrzystej głębi
nie zostawić na wodzie
złowrogich kręgów

jak wargami dotknąć
śnieżystej orchidei
by nie uszkodzić płatków
nie zniszczyć kruchego piękna
nawet oddechem

jak przygasić płomień
cienkiej cerkiewnej świecy
by nie poparzyć palców
i nie zostać w ciemności

nie wiem

Stanisław Chutkowski

Przyspieszony egzamin z dorosłości, „Idź, tam gdzie jesteś”

Andrzej Górny, autor powieści i opowiadań, krytyk literacki, współtwórca scenariusza do filmu „Poznań 56” w książce „Idź, tam gdzie jesteś” przedstawia wewnętrzne zmagania młodych i wykształconych ludzi na tle zaistniałych przemian w naszym kraju. Schyłek lat osiemdziesiątych miał bezpośredni wpływ na bohaterów tej powieści.

Następowały roszady kadrowe na różnych stanowiskach, od urzędników wyższych szczebli, po redaktorów pism, a szczególnie tych z zabarwieniem politycznym mijającego systemu. Bohater powieści, młody redaktor Alek boi się swojej przyszłości, pracuje bowiem w czasopiśmie finansowanym przez ustępującą władzę. Bierze bezpłatny urlop, występuje o wizę i postanawia opuścić kraj, udając się przez Niemcy do Francji, a dalej do Hiszpanii, chce w tej wędrówce przemyśleć wszystko od nowa, ułożyć dalsze życie, oderwać się od tego, w czym tkwi.

Na drodze stoi bliska mu Irka, pracująca w redakcji, odpowiedzialna za kontakty z czytelnikami. Odcięła się od ojca aktywnego aparaczyka w partii. Jest też Danką bezgranicznie oddana Irce. Wszyscy troje zamieszkują wspólnie u Irki. One są jakby uzupełnieniem osobowości Alka, ich przekonania, uczucia, przyjaźnie są jak nici oplatające i dopełniające całą trójkę. Toczący się niustający dialog, stanowi rdzeń powieści, skutkuje różnymi wydarzeniami. Jest budząca się miłość pomiędzy Alkiem a Irką, są zalotne spojrzenia, pełne wdzięku zawsze pogodnej Danki, niustające dyskusje wokół wyjazdu Alka na Zachód, dialogi za i przeciw, niedomówienia, są chwile umizgów, pieszczoł, oczekiwania i wzajemnego przybliżania się.

W dialogach z urzędnikami wydającymi paszport, dostrzegamy docieklivość i dwuznaczność propozycji, znaną Alkowi z racji wykonywanego zawodu. Są też sprawy lojalności względem Jacka oraz lekarza Włodka. Nawarstwienie tych problemów zadecydowało o jego wyjeździe. Po długich rozmowach przekonuje Irkę i razem z Danką udają się przez Niemcy do Paryża, Irka ma do nich dojechać później. Po drodze odwiedza Włodka. Od niego dowiaduje się o kłopotach, w które wplątał nieopatrznie przyjaciela. Okoliczności rozdarcia wewnętrznego Alka powodują, że on i Danką zbliżyli się do siebie, stało się to, od czego uciekali obydwójce, zapomnieli się w sobie, żałują tego uniesienia. Ta jedna chwila może spowodować utratę ich wolności i wzajemnego zaufania. Z niepokojem oczekują przyjazdu Irki, która wiedzioną kobiecą intuicją wyczuwa, że coś się wydarzyło, tylko nie wie co. W Paryżu, mimo różnych podej-

zeń względem Alka, Irka jak dawniej potrzebuje jego adoracji i nadal po starym przytula się do Danki, wywołując zazdrość.

W tym trójkącie jaki stworzyli Alek jest przywódcą. Dla niego przyjechała Irka do Paryża, jego urok osobisty, aparycja, wzbudziły u Danki oczarowanie, a w określonej sytuacji spowodowały jej uległość. On decyduje, co mają dalej robić, gdzie jechać. Jest jak obłok na niebie czekający powiewu wiatru, który poruszy go przed siebie. On czeka na ten wiatr, na impuls. Wypełnia to czekanie na wędrówkach po paryskich i hiszpańskich muzeach, delectuje się malarstwem, fascynuje go kino, na filmie o Indianinie chciałby być taki jak on.

Alek jest osią wydarzeń, ale dalej poszukuje punktu odniesienia względem siebie. Przybliża się do Irki, ale nie jest w stanie powiedzieć, co zaszło między nim a Danką. Trójkąt jaki stworzyli bohaterowie powieści występuje jedynie na początku i na jej końcu. Pozostała część stanowi niustające dialogi, pomiędzy Alkiem i Danką, oraz Alka z Irką.

Decydującym o przyszłości jest dialog tych trojga na hiszpańskiej plaży. Tu wyjaśnia się tajemnica zdrady, tu pojawia się cięża Danki, zachodzi pytanie o ojcostwo, które może być za przyczyną Alka lub poznane Portugalczyka na winnicy. Na tej plaży decydują się losy młodych ludzi, ich uczuć, charakterów, zdolności rozumienia i przebaczenia. Wszyscy troje zdają pierwszy, dojrzały egzamin z uczuć i siły przyjaźni, tu hartuje się ich osobowość, wewnętrzny rachunek Alka ze sobą i jego przełamanie. Na plaży, pomimo dramatów, odnajdują się, nie rozbijają stworzonego trójkąta, przyjeżdżają do kraju z przemianą jaka w nich niewątpliwie nastąpiła.

Autor pozostawia w niedomówieniu otwarty, dalszy ciąg zdarzeń tej powieści i zostawia go czytelnikowi do własnej interpretacji. To samo dotyczy tajemniczego tytułu: „Idź, tam gdzie jesteś”. Przesłanie można odwrócić, zmienić jego sens: „Idź, tam gdzie będziesz sobą”. Sens inny, ale mimo to, problem pozostałby ten sam – dokonać wyboru.

Do powieści można dopisać dalsze dzieje, wrócić po latach do bohaterów i pokazać kim są, czego dokonali, co osiągnęli. Według mnie, powieść ta ukazuje odnajdywanie się w rzeczywistości, dorastanie do dorosłości, odpowiedzialności za siebie i bliskich. Ma wymiar społeczny, psychologiczny i etyczny.

Zabrakło mi poglądów bohaterów na zachodzące w kraju zmiany, a w przypadku Alka, autor powierzchownie dotyka tego problemu, poszerzenie tych wątków dopełniłoby osobowość bohatera. Wybrałem wariant interpretacji przewijających się w powieści dialogów, ich sygnalizację, odczucia i wrażenia. W nich odnajdujemy przemyślenia, nad którymi warto się dłużej zatrzymać.

Andrzej Górny, „Idź, tam gdzie jesteś” Wydawnictwo Nowy Świat Warszawa, 2016.

Piękna książka

Jakoś nie mam zaufania do zbyt pięknych książek. Kolorowa, lśniąca lakierem sztywna okładka, wewnątrz barwne ilustracje i wymyślny krój czcionki. Jednak bywa, że ten edytorski makijaż nie jest w stanie zamaskować drzazg, o które nazbyt często kaleczą się oczy przy czytaniu. A to składnia dziwaczna, a to interpunkcja kuleje, a i sążnisty ortograficzny byk się trafia.

Te uwagi w najmniejszym stopniu nie dotyczą pierwszej książki Alicji Kubiak „Za szklanymi drzwiami” – zbioru opowiadań wydane przez wydawnictwo KONTEKST w Poznaniu. Skromna, a zarazem elegancka okładka, wewnątrz powiązane z tekstami opowiadań grafiki Macieja Kaźmierczaka, a jedynymi wybojami, o jakie potykają się oczy czytelnika, są zmuszające do myślenia neologizmy, niezwykle skoki myślowe czy przenośnie nieprzypadkowo umieszczone przez autorkę właśnie tam a nie gdzie indziej, które tylko kondensują emocjonalną wymowę tekstu.

Czytając te opowiadania wchodzimy w niezwykły świat, w którym realne miesza się fantastycznym, w świat snu, nocnych marzeń i mar, lęków, obsesji i szaleństwa. Nie ma tu radosnego klimatu. W rozmaitych konwencjach – przypowieści, baśni, poetyckiej fantasmagorii, trzeźwej, niemal dziennikarskiej relacji dotykamy ciemnej strony ludzkiego życia. Walki z bólem, przemocy domowej, molestowania, szaleństwa wywołanego utratą czegoś niezwykle cennego, Problemów z akceptacją obcego, z bezwzględnością mediów szukających zysku w ludzkim nieszczęściu.

Wydawałoby się, że po przeczytaniu kilku takich przynębiających stron odłożymy książkę z ulgą na półkę. Jednak nie. Może dzięki panującej w tych utworach szczególnej harmonii, zgodności formy i treści. Poetycki, nostalgiczny język opowieści o sennej zjawie diametralnie różni się od reportażowego stylu tekstu, którego bohaterką jest dziennikarka. Można by sądzić, że ich autorami są dwie różne osoby. Płynna narracja sprawia, że „to się czyta”, a w wielu przypadkach pomysłowa konstrukcja fabuły – co nie jest dla autora sztuką łatwą na przestrzeni krótkiego tekstu – długo zawiesza czytelnika w niepewności.

W opowiadaniu „Pewnego marcowego popołudnia...” odkrywamy stopniowo przeszłość spokojnego, samotnie żyjącego starca, który okazuje się pozbawionym ludzkich uczuć zwyrodniałcem. Kara, która go w końcu osiąga jest równie niespodziewana, co okrutna. Przypominają się baśnie braci Grimm, zwłaszcza że na opowieść o jego losach nakłada się legenda o młodej parze, która utonęła w pobliskim jezioru.

Pracownicy domów dziecka twierdzą, że ich wychowankowie z ulgą opuszczają „bidul”, co nie przeszkadza, że do tych placówek wracają ich dzieci. Skąd takie myśli? Po lekturze opowiadania „Siekiera”. Tytułowe, jakże użyteczne narzędzie jest w nim symbolem patologii, przemocy w rodzinie, która nieubłaganie wraca w kolejnym pokoleniu. Bohaterka chce przerwać tę fatalną pętlę, zabija, trafia do więzienia, skąd opowiada swoją historię. Jednak ma dzieci, które zostały na wolności. Kto się nimi zajmie? Czy złowieszczą siekiera wróci także do ich życia?

Dla staruszki, która nieświadomie wyniosła ze sklepu lawendowe mydełko, ten zapach jest w jej długim życiu jedynym jasnym skojarzeniem. Przypomina dom babci – wyjątkowe miejsce, jedyne w którym kiedyś czuła się bezpieczna i szczęśliwa. Szczególna samotność towarzyszy rezydentom hoteli. Podobno jest taka kategoria ludzi. Apartament, nawet wynajęty na długie lata, to nie to samo co mieszkanie, które kiedyś było tożsame z domem rodzinnym, gdzie ci sami, płynący wraz z nami przez czas sąsiedzi łagodzą poczucie osamotnienia. Długoletni rezydent wśród anonimowego tłumu coraz to nowych hotelowych gości staje się po trosze nie kimś, ale czymś, jakimś meblem z hotelowego wyposażenia.

„Zwątpliwiec” czai się w kącie mieszkania, a „Wiedźmasenna” – jakie to piękne neologizmy – kryje w sobie echa opowieści o nocnych zmorach, jakimi kiedyś raczono się na wieczornych spotkaniach przy lampie naftowej albo świecach. Nie ma już takich lamp, nie ma takich opowieści, ale koszmary i napady zniechęcenia zostały, w dodatku opowiedziane piękną poetycką prozą. Takich fantastycznych postaci sporo snuje się w tych opowiadaniach. „Za szklanymi drzwiami” szpitalnej sali ktoś żywi się wspomnieniami konających, ścigając się z Tą, która już za chwilę ma zabrać człowieka wraz z jego pamięcią przez wrota przeznaczenia. „Lunatycy snów” prowadzą bohaterkę przez mroczne zakamarki podświadomości, a może wcale nie podświadomości tylko gasnącej świadomości. Jakże to niedookreślone, dające pole do rozmaitych interpretacji, a właściwie zamyślenia nad tym, o czym w wirze codzienności nie mamy czasu, a może raczej nie mamy chęci myśleć.

Warto wracać do tych tekstów i smakować ich język.

„Złodziej dusz” – nie spotkałem się dotąd z takim określeniem czardasza.

„Ktoś leży podłączony do poziomej linii aparatury”.

Grozę szpitalnej nocy można jednak oswoić żartami – „kanonada dział chrapaczy”, „kawalkada mrukliwa podkołderników jadowitych”, „beknięcie moździerz”, „przeciągły świst pocisku ziewającego”. Na szczęście te odgłosy nikną, gdy „niebo upina promienną broszkę ciepła”. Wtedy cierpiący chory „wybucha dzwonkiem proszalnym” o „złoty miecz dożylny”, który przyniesie trochę ukojenia

Jak widać, nie brak autorce poczucia humoru. I dobrze, że розміściła w książce kilka łagodzących tekstów o charakterze groteski, choć i one skłaniają do refleksji. Jest wśród nich złośliwa (i trzeba przyznać celna) charakterystyka starzejącego się męża, który niewiele wie o swojej żonie, tego zwłaszcza, że ma ona kilka charakterów – pisma jak się okazuje.

Piękna książka. Piękna i mądra swoim wnętrzem.

Jacek Kulm (ur. w 1943 roku w Lublinie) – polski artysta fotograf, członek Związku Polskich Artystów Fotografików. Mieszka i pracuje w Poznaniu. W latach 1964 - 1971 studiował historię sztuki na Universidad Autónoma Metropolitana. W 1965 roku zdał egzamin na Mistrza Fotografii u profesora J. Czarneckiego. W latach 1966 - 1969 był fotoreporterem w RO ZSP (Studenckiej Agencji Fotograficznej).

Jacek Kulm jest związany z fotografią artystyczną od ponad 50 lat - jego pierwszą wystawą fotograficzną były "Impresje włoskie" zaprezentowane w 1969 roku w "Galerii Nowa" w Poznaniu. W jego twórczości miejsce szczególne zajmuje fotografia teatralna. Od 1972 roku Kulm współpracuje z teatrami polskimi i teatrami za granicą, takimi jak (m.in.): Teatr Nowy w Poznaniu, Teatr Wielki w Warszawie, Teatr Polski w Poznaniu, Teatr Muzyczny w Poznaniu, Estrada Poznańska, Polski Teatr Tańca - Balet Poznański, Pantomima Henryka Tomaszewskiego, Pantomima Głuchych w Olsztynie, Balhof Theater w Hanowerze, Aegi Theater w Hanowerze.

Jacek Kulm jest autorem i współautorem wielu wystaw fotograficznych indywidualnych i zbiorowych, w Polsce i za granicą. Wystawiał swoje prace (m.in.) w Berlinie, Hamburgu, Hanowerze, Lipsku, Sofii, Paryżu, Poznaniu. W 2012 roku w "PBG Gallery" w Wysogotowie miało miejsce otwarcie wystawy: "Retrospektywa", połączone z jubileuszem 50 - lecia pracy twórczej i 70 - lecia urodzin artysty.

W 2017 roku Jacek Kulm został laureatem "Nagrody Artystycznej Miasta Poznania 2017"

(Z wikipedii)

Fragmety wywiadów Marka Zaradniaka z Jackiem Kulmem w „Głosie Wielkopolskim” z 13.08.2013 i 3.07.2017.

Jak to się stało, że stał się Pan artystą fotografikiem?

Trzykrotnie startowałem bezskutecznie na studia do szkoły plastycznej w Warszawie, Toruniu i Poznaniu. A ponieważ trzeba było uciekać przed wojskiem, dostałem się na historię sztuki na Uniwersytecie Adama Mickiewicza. Na początku trochę, żeby przeczekać. Nie bardzo chciałem być historykiem sztuki. Chciałem iść na malarstwo, ale nie było mi dane. Nie wiem, czy nie doceniono mego talentu, a może byłem po prostu nieutalentowany w tym kierunku. A może mój talent jeszcze się tak nie rozwinał. Na I roku historii sztuki otworzyły mi się oczy, że jest coś takiego jak fotografia artystyczna. Wcześniej zajmowałem się tą reporterską. Na studiach miałem kolokwium z dokumentacji dzieł sztuki. Zajęcia prowadził jeden z braci Czarneckich - Witold albo Jerzy, tego już nie pamiętam. Zdałem to kolokwium i fotografia zaczęła mnie coraz bardziej wciągać. Potem już nie myślałem o ponownym zdawaniu do Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Ciągnąłem historię sztuki równoległe z pedagogicznym studium nauczycielskim. Na studium miałem dużo plastyki. Było dużo malarstwa, rysowania. To mi wypełniło lukę, jeśli chodzi o plastykę. Mój ojciec, który był plastykiem,

pchał mnie zresztą na studia plastyczne. Chciał, abym poszedł jego śladem. Chciał mi pomagać i pomagał. Miałem od niego wsparcie finansowe i teoretyczne. Uczył mnie zresztą też fotografii, jeszcze zanim związałem się ze Studencką Agencją Fotograficzną. Ojciec pokazał mi laboratorium, ciemnię łazienkową, gdzie poznałem arkana kąpielii fotochemicznej i fotografii analogowej, i tak to się zaczęło.

Czy technika cyfrowa pomaga artyście fotografikowi?

Z jednej strony pomaga, ale z drugiej ogłupia, bo fotografik nigdy do końca nie opanuje wszystkich dostępnych funkcji. W dobrych lustrzankach jest taka technika, że często wspiera artystę. Ale często jest też tak, że młodzi, niedouczeni fotograficy po jednym udanym zdjęciu myślą, że są wielkimi artystami, a z powtórzeniem ujęcia już mają problem. A jak ktoś ma solidne podstawy fotografii, może to samo ujęcie powtarzać setki razy. Trzeba właściwie ustawić światło i starać się wydobyć głębię. Aby to zrobić, ja zawsze fotografowałem na niskich czasach 1/15 sekundy, 1/25 sekundy. Wtedy można wydobyć ruch i dzięki temu moje zdjęcia są prawdziwe, silnie oddziałujące, ale najbliższe, jak wspominałem, są mi przetworzenia, kiedy z podstawowego zdjęcia można zrobić jeszcze coś innego. To dzięki temu nazywa się mnie twórcą parateatralnym. Robię swój teatr.

W numerze wykorzystano zdjęcia Jacka Kulma ze spektakli w Teatrze Nowym z lat 1973 - 1987 z czasów dyrekcji Izabelli Cywińskiej.

s. 1 - „Modlitwa chorego przed nocą”, reż. Janusz Wiśniewski, 1987.

s. 5 - „A jak królem a jak katem będziesz”, reż. Janusz Nyczak, 1973.

s. 8 - „Oni”, reż. Izabella Cywińska, 1975.

s. 11 - „Ojczyzna chochołów”, reż. Wiesław Komasa, 1979.

s. 14 - „Życie jest snem”, reż. Wojciech Szulczyński, 1978.

Dziękujemy Kackowi Kulmowi za udostępnienie zdjęć.

Dziękujemy red. Markowi Zaradniakowi i „Głosowi Wielkopolskiemu” za udostępnienie wywiadów.